

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WYCHODZI 1-GO i 16-GO KAŻDEGO MIESIĄCA

W niedzielę, 3-go listopada jako w dzień imienia Świętego Patrona łowiectwa, odbędzie się MSZA ŚWIĘTA przed Jego ołtarzem w kościele Św. Elżbiety we Lwowie o godz. 10-tej.

Z Karpat

Podajemy poniżej rezultat tegorocznych łowów rykowiskowych w Karpatach, według otrzymanych sprawozdań.

Najpoważniejszym wieńcem, jaki nietylko w tym roku, lecz w przeciągu kilku ostatnich lat zdobyty został w Karpatach, jest nierówny 20=ak z Hreniawy, p. inż. Tadeusza Marcinkiewicza. Dźwigał go na swej królewskiej głowie prajeleń, sędziwy starzec, urodzony dobrze jeszcze przed wojną światową. Imponuje w nim rozpiętość 114 cm i w prawej koronie głęboki i wielki kielich.

Drugim przepięknym jest wieniec 14=aka, ubitego przez p. Wojewodę lwowskiego Belina Prażmowskiego w Starzawie. Szlachetnej formy, hebanowo czarny o bogatem uperleniu, jest jednym z czołowych, w tym roku zdobytych w Karpatach wieńców.

Trzecim godnym wzmianki, jest też przepiękny w formie, kolorze i uperleniu 16=tak Ks. Róży Lubomirskiej, zdobyty w Perehińsku. Wspaniały wieniec 18=aka zdobył St. hr. Krasicki w Lesku.

Ubili:

w Hreniawie: Inż. Tadeusz Marcinkiewicz 1 20=ka, (kapit.)

w Barkuciu: hr. Rzyszczewska 1 12=aka;

w Jasieniu: Ludwik hr. Mycielski 2 12=aki, Ks. Eug. Lubomirski 1 14=aka, Dyr. Faliszewski 1 10=aka, Steinhagen 1 14=aka i 1 10=aka, Konstanty Chłapowski 1 10-aka, hr. Roman Bielski 1 14=aka;

w Delatynie: Olgierd Ks. Czartoryski 2 8-aki, (1 wstecznik), 1 10=aka i 1 12-aka, Bobryński 1 8=aka;

w Jaworniku: Dr. Madejewski 1 14=aka;

w Jaremczu: Brodnicki 1 16=aka;

w Łojowej: Kurnatowski 1 12=aka;

w Hrepetowie: Inż. Marmarosz 2 12=aki;

w Zielńcu: Dyr. Loret 2 10=aki, Mr. Coche 1 12=aka;

w Perehińsku: Cyryl Czarkowski=Golejewski 1 16=aka i 1 10=aka, Dr. Winterfeld 1 16=aka, 1 10=aka i 1 12=aka, Ks. R. Lubomirska 1 16=aka (kap.), Łazarewicz 1 14=aka, Ks. Wład. Lubomirski 1 16=aka:

w Wełdzirzu: hr. Karolly 2 14=aki (1 kap.), hr. Aponji 1 14=aka, Blauwelt 1 14-aka, Werner 1 12=aka, Ulam 1 10=aka i 1 12-aka;

w Porochach: hr. Schafgotsch 1 14=aka, Jedlitz 1 8=aka;

w Mizuniu: hr. Wład. Tyszkiewicz 1 14=aka i 1 12=aka, hr. Artur Tarnowski 1 14=aka, 2 12=aki, hr. Andrzej Potocki 1 20=aka;

w Polanicy: hr. Jerzy Potocki 2 14-aki, hr. Józef Potocki 2 14-aki, hr. Alfred Potocki 1 10-aka;

w Skolem: Józef Cieński 1 14-aka (kap.), hr. Komorowski 1 8-aka, Ks. Lobkowic 1 10-aka;

w Lisowicach: Adam hr. Bielski 1 14-aka;

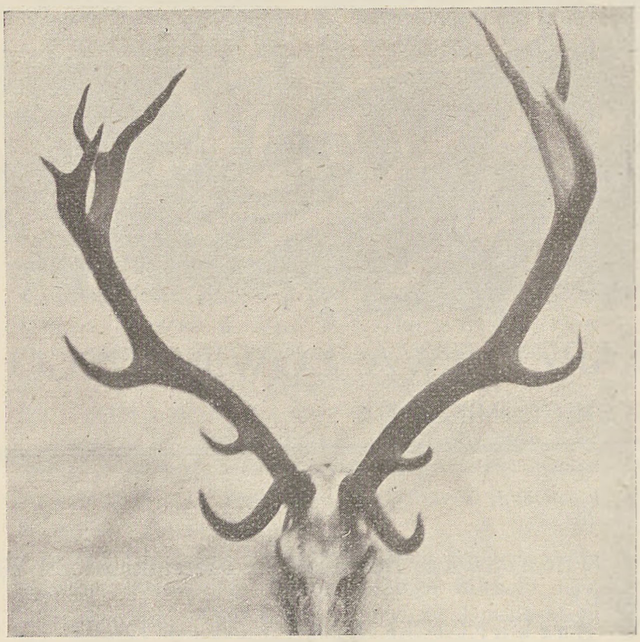
w Klimcu: p. Scott 1 10-aka, hr. Jan Gołuchowski 1 12-aka;

w Starzawie: Wojewoda Belina Prażmowski 1 1 14-aka (kap.);

w Lesku: Stan. hr. Krasicki 1 18-aka (kap.) i 1 14-aka.

—o—

Niedźwiedzi padło 3, w nich niestety 2 niedźwiedzice. W Perehińsku ubił dużego niedźwiedzia p. Stanisław



14-ak, ubity przez p. Wojewodę Belina Prażmowskiego w Starzawie, we wrześniu 1935.
Wymiary w cm: długość 102, 97; obwód pni po 18; obwód róż po 25; rozpiętość 80; waga 8,60 kg

Cieński, niedźwiedzicę Br. Dunikowski, również padła bardzo stara niedźwiedzica z ręki Dra Błeszyńskiego w Wołosiance.

Rykowisko tegoroczne odbywało się w warunkach dla myśliwych niepomyślnych. Jelenie ryczały przeważnie tylko w nocy, by o świcie na cały dzień zamilknąć. Dlatego też i rezultat myśliwski pod względem jakościowym, jest o wiele gorszy od zeszłorocznego. Byków kapitalnych ubito niewiele, natomiast średnich i słabych coniemiara. wiele też byków ubito nie po myśliwsku wypracowanych, lecz na przypadkowem spotkaniu.

Prosimy usilnie o artykuły z rykowisk i o reprodukcje kapitalnych wieńców! A. M.



Rykowisko w 1935 r. w lasach państwowych

Przystępując do sporządzenia bilansu łowów jelenich w okresie tegorocznego rykowiska, stwierdzić należy, że jakkolwiek tradycyjnie piękna i pogodna jesień stworzyła niezrównane tło dla odbywających się godów królewskiego zwierza Karpat i dała myśliwym możność oglądania przepięknych krajobrazów górskich w oświetleniu wschodzącego i zachodzącego słońca — to jednak z drugiej strony, ta właśnie pogodna i ciepła jesień stała się pośrednią przyczyną wielu zawiedzionych nadziei i nieoczekiwanych niespodzianek, jakie zgotowała myśliwym w tym roku knieja karpacka.

Krótkotrwałe, ale gwałtowne skoki temperatury, w ciągu naogół pogodnego i bardzo ciepłego okresu, gwałtowne burze gradowe, jakie miały miejsce w tym czasie w niektórych okręgach, do tego stopnia zdezorjentowały zwierzynę i wzmogły jej ruchliwość, że zwyczajnie łatwe ustalenie ryczących byków częstokroć stawało się niemożliwe, a zdobycie w efekcie tegorocznego rykowiska kilku wyjątkowo pięknych wieńców było wynikiem raczej szczęśliwych przypadków i co jest charakterystyczne, trafiło na obwody mało znane wśród grona rokrocznie polujących na rykowisku myśliwych.

Na ryczących w tym roku na terenach łowieckich Dyrekcji L. P. we Lwowie, 600 sztuk byków, w wyniku polowań padło 67 sztuk, w czem z odstrzału myśliwskiego 62 sztuki, reszta zaś, t. j. 5 sztuk z odstrzału selekcyjnego.

Na rozkład odstrzału myśliwskiego składają się:
dwa 20-taki, w tem 1 wieniec kapitalny,
jeden 18-tak, o kapitalnym wieńcu,
dwa 16-taki, obydwa kapitalne,
piętnaście 14-taków, w tem 10 wieńców kapitalnych,
dwadzieściasiedm 12-taków, w tem 9 kapitalnych,
siedmnaście 10-taków, w tem 4 kapitalne, — reszta słabsze z odstrzału selekcyjnego.

Z pomiędzy kapitalnych trofeów tegorocznego sezonu, szczególnie wyróżnia się:
kapit. 14-ak Woj. W. Beliny-Prażmowskiego (Starzawa),
„ 20-ak Inż. T. Marcinkiewicza (Hryniawa),
„ 14-ak Dr. W. Madejewskiego (Hryniawa),
„ 12-ak Gen. K. Sosnkowskiego (Iłemnia),
„ 10-ak Min. B. Miedzińskiego (Sołotwina),
„ 14-ak Ks. Eug. Lubomirskiego (Jasień),
„ 14-ak Hr. R. Bielskiego (Jasień),
„ 14-ak Hr. A. Tarnowskiego (Mizuń),
„ 12-ak Hr. W. Tyszkiewicza (Mizuń),
„ 14-ak Ambas. hr. Jerzego Potockiego (Polanica),
„ 14-ak hr. Józefa Potockiego (Polanica).

Waga wymienionych wieńców wahała się między 7 a 11 kg, po wygotowaniu — zatem wyniki, jak na bieżący, wyjątkowo niepomyślny rok, bardzo dobre.

W roku bieżącym po raz pierwszy wprowadziła Dyrekcja nowy sposób oceny wieńców, wedle metody Inż. A. Dyka, przyjmując za podstawę obliczenia wartości jedynie podstawowe punkty wymiarowe, jako bezsporne i nienastręczające żadnych wątpliwości.

Analizując wyniki uzyskane przy tym sposobie wyceny, Dyrekcja stwierdziła, że znaczna część uzyskanych w tym



Nier. 20=ak, ubity przez czł. P. Z. S. Ł. i M. T. Ł. inż. Tad. Marcinkiewicza w Hreniawie, 3 października 1935 r. Wymiary w cm: długość po 113; obwód pni po 166; róż po 25,5; rozpiętość 114.

roku trofeów, pochodzi z odstrzału byków starych. — Słabe ugałęzienie wieńca, przy równocześnie szerokich i silnie uperlonych rożach, oraz znacznej grubości tyk, zwłaszcza u nasady wieńca, wskazują na to, że byk taki przeszedł już punkt kulminacyjnego rozwoju fizycznego i cofa się w ugałęzieniu do początkowego stadjum, uzyskując jednak mimo wszystko wysoką klasę punktacji przy wycenie.

Ponieważ zasadą prawidłowej hodowli jest dopuszczać do rozmnoży przedewszystkiem osobniki młode, znajdujące się w pełni rozwoju sił fizycznych, wyniki minionego rykowiska, wskazują na konieczność przeprowadzenia selekcji wśród starych byków łownych i słabo zapowiadającej się młodzieży.

Przechodząc zkolei do omówienia przebiegu rykowiska, na wstępie zauważyć należy, iż zainteresowanie rykowiskiem, jakie miało miejsce wśród myśliwych, przed rozpoczęciem sezonu polowań, zdawało się wskazywać na znacznie lepsze rezultaty, aniżeli w wyniku uzyskano.

Na rok bieżący przeznaczyła Dyrekcja do odstrzału na swoich terenach łącznie 100 sztuk jeleni=byków, z której to sumy 43 sztuki przypadło na tereny w całości wydzierżawione, resztę zaś przeznaczono na pojedyńcze odstrzały. Mimo dość znacznej, w porównaniu do roku ubiegłego, podwyżki opłat, już w miesiącu sierpniu wszystkie przeznaczone do sprzedaży odstrzały były przez myśliwych zadatkowane i gdyby nie bardzo słaby i nierówny przebieg rykowiska, preliminowane cyfry odstrzałów byłyby w 100%=tach osiągnięte.

Jak już wspomniano, przy trwałej i słonecznej pogodzie i niezwyczajnie wysokiej temperaturze, rykowisko miało przebieg ogromnie rozwlekły, a skutkiem tego bardzo słaby i nieregularny. Pierwsze porykiwania jeleni zanotowano już w pierwszych dniach września, a jeszcze do 19 października, zwłaszcza w chłodniejsze ranki, byki ryczały dość silnie.

Okres największego nasilenia rykowiska przypadł na czas między 10 września a 5 października, a to w zależności od wystawy stoków i chwilowych zmian temperatury.

W większości wypadków grube byki, prawdopodobnie skutkiem zbyt wysokiej temperatury, ryczały w ciągu dnia bardzo skąpo i to na najwyższych i trudno dostępnych szczytach, w wysokim lesie, na zręby schodząc tylko na krótki czas porą nocną. Ten fakt, między innemi, wpłynął na małą stosunkowo ilość prawdziwie kapitalnych wieńców na rozkładzie. Tem też prawdopodobnie wytłumaczyć należy niezwyczajnie małą ilość łań spotykanych przez myśliwych na zrębach w towarzystwie młodszych byków — znaczna ich bowiem część musiała przebywać z grubymi bykami w wysokim lesie.

Powodem jakościowo słabych wyników tegorocznego sezonu jest niezaprzeczenie i prawie wyłącznie pogoda, jaka panowała w górach w okresie miesięcy wiosennych. Przewlekła zima i silne przymrozki w maju, t. j. w okresie intensywnej budowy wieńców, wpłynęły w wysokim stopniu na wydatne obniżenie się siły rozrostowej i wagi urożenia.

Do nieregularności i osłabienia nasilenia rykowiska, przyczyniły się też w pewnym stopniu, dość często przez myśliwych spotykane niedźwiedzie, a w kilku wypadkach i wilki, których ilość jednakże nie przekroczyła normalnego stanu.

W wyniku tych nieoczekiwanych spotkań, jeden z myśliwych polujących w Nadleśnictwie Mikuliczyn, natknąwszy się na 4 przechodzące wilki, jednego z nich ubił. W tem samem Nadleśnictwie inny myśliwy w czasie rannego podchodu, strzelił dwa dziki.

Naogół tegoroczne rykowisko, mimo słabego swego przebiegu, było dość urozmaicone, uwolnione bowiem od opieki i nadzoru starych weteranów kniei, młode byki staczały homeryckie boje o nieliczną garstkę pozostawionych im łań, dając wielu myśliwym możność obserwowania tego nieczęsto spotykanego widowiska.

Powyższe sprawozdanie otrzymaliśmy dzięki wielkiej uprzejmości Pana Dyrektora Lasów Państwowych inż. K. Szuberta, za co Mu gorąco dziękujemy. Red.

C. C. G.

Z rykowiska

Dziesięć dni temu wróciłem! Należy więc dawnym, od trzydziestu dwu lat przyjętym przezemnie zwyczajem, rzucić garstkę wspomnień pod tym nagłówkiem na papier i przesłać je kochanemu towarzyszowi, redaktorowi, dla kochanego „Łowca".

Snują się... snują wspomnienia! I umysł łowca i serce jego pajęczą ich nicią czemraz ciaśniej splata! Ciaśniej, bo wspomnień przybywa! Srebrzysta nić się ciągnie bez końca! Hej, starczy jej na starcze lata, gdy człek li tęsknić będzie do słońca! do sił młodości, do gór! do tego, co tylko... swobodę niosło i same radości — gdy świat tymczasem i życie wśród ludzi, sam smutek tylko przynosiło w darze... Znów garstka przybywa! Garstka radosnych chwil!

Okres od 5 września do 5 października, spędziłem w swoim rewirze w Perehińsku. Długo łaziłem po górach, zanim pierwszy odezwał się jeleń. Dziwne czasem natura kryje dla łowca zagadki! Zagadką taką nazywam cały tegoroczny rykowiska przebieg. Od trzydziestu dwu lat spędzając cały, lub część września w górach, sądziłem że nie obce mi są zwierza tajniki — że zdołam zawsze każde się jego zachowanie wyjaśnić. Aż teraz znowu wpadłem na zagadkę i śladem Sokratesa powiem: wiem, że nic nie wiem!

Roku zeszłego widziałem bardzo wiele łań i wiele młodzieży męskiego rodu, pasących się wspólnie, dopóki nie ozwały się pierwsze poryki, dopóki starsze jelenie nie zaczęły uprowadzać zrywających się łań i kryć się z niemi po trudniej dostępnych miejscach, co tworzyło pierwszy okres rykowiska. A zaczęło się to było 11 września i trwało przez 10—14 dni, aż rykowisko rozgorzało w całej pełni. W roku bieżącym łań wiele widziałem, nie mniej zupełnie, lecz męskiej młodzieży przy nich nic! I łaziłem wytrwale na szczyty i grzbiety górskie — siadywałem tam dniami całemi, wysłuchując daremnie upragnionego pierwszego poryku! Pierwszy poryk odezwał się 16 września, ale tylko pojedyńczy, oderwany — taksamo następnego dnia — 18 września, ryczały jelenie po ciemku nieźle, 19 do 21 września trochę lepiej i zdawało się, że rykowisko zaczyna się w normalnym przebiegu, gdy 22 września ustało i znowu zapanowała w górach kompletna cisza. Prawda, że i pogoda pozostawiała do życzenia: przeszło kilka burz ze silnemi grzmotami, nastały gęste mgły a 27 września spadł bardzo mokry śnieg, po którym bezpośrednio zaczęły się huraganowe wichry. Nie pamiętam, kiedy prześladowały mnie takie wichury — w nocy dworek mój cedrowy trzeszczał cały i spać nie dawał a w dzień huczało i wyło z bardzo malemi przerwami i mało było zakątków leżących „za wiatrem".

Bez kwestji musiał to być jeden z powodów złego rykowiska i w czasie od 30 września do mego wyjazdu 5 października, ponownie się nie słyszało, chyba gdzieś jakieś mruknięcie. Przypuszczam, że łanie zrywały się bardzo pojedyńczo, bardzo sukcesywnie i odzywał się tylko dany jeleń, który z taką łanią chodził — krył się z nią a wichura nie dozwalała głosom roznosić się echem po górach i pobudzać inne. Wciąż też stosunkowo nie widziałem jeleni najmłodszych, które zwykle najwięcej harmideru robią.

Co padło w tych stosunkach w rewirach Perehińska? 2 szesnastaki podobno zupełnie średnie, 6 czternastaków średnich lub lichych, 5 dwunastaków, z których jeden bardzo gruby, a jeden mój niezwykle ciekawy i rzadki, 1 dziesiątak, 1 szóstak i 1 spiczak, odstrzelone ze względów hodowlanych — razem 16 jeleni i 2 niedźwiedzie.

Sztuką tylko udało mi się zdobyć dwa wieńce: czternastaka i dwunastaka wstecznika. Pierwszy średni zupełnie, lecz będzie mi wspomnieniem jedynego w życiu podchodu, bo dostrzegłem go na łopacie pod samym szczytem góry Koretwyny, wśród morza kosówki — w morze to dałem nurka i mimo, że mnie mój towarzysz zapewniał, że mowy o podejściu być nie może, po godzinnem dosłownie czołganiu się przez kosówkowe dżungle, znalazłem się naprzeciw jelenia. Drugiemu poświęciłem siedm żmudnych i pracowitych dni, pragnąc po pierwszem dostrzeżeniu go dostać. Wieniec ma prawy pień normalnego dwunastaka, lewy pień tworzy formalna łosia łopata o szerokich pasemkach. Łopata zaczyna się bezpośrednio na czopie.

Przy ubiciu tego jelenia miałem rzadki dowód wytrzymałości wieńca. Strzeliłem go na bardzo stromej kamienistej i gołej zboczy, sam znajdując się po przeciwnej stronie zworu. Jeleń zwalił się w miejscu i toczył się jak lawina do 200 kroków, tak trzaskając wieńcem po głazach, że obawiałem się znaleźć same drzazgi z niego: odłamał się jeden malutki koniuszek.

Niedźwiedzi jest w Perehińsku bardzo wiele. To co sam widziałem i pozbierałem jako wiadomości, pozwala liczyć śmiało na 80—100 sztuk. — Wskazanemby było, aby Perehińsko mogło otrzymywać rocznie zezwolenie na 8—10 sztuk odstrzału, wyłącznie w czasie od 15 IX. do 15 X. Odstrzał ten nigdy nie byłby wykorzystany, dowodem ostatnie lata, w których w r. 1932 i 1933 nie padło nic, 1934 jeden a 1935 dwa, ale dawałby myśliwym więcej emocji przy uczuciu, że może strzelić do niedźwiedzia.

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

VI.

SŁOŃ AFRYKAŃSKI

W takiej to okolicy spędziłem cały miesiąc, ale mimo wszelkie wysiłki, nie mogłem nigdy do słoni dotrzeć.

Natomiast Kazimierzowi udało się raz dopaść stado, ale na tak zabagnionej i wysokiemi trzcinami zarośniętej dolince, że podejść do niego pod wiatr na możliwy dystans było niepodobieństwem. W trakcie szukania odpowiedniego przejścia, słonie go zwietrzyły i uszły bez strzału.

Dalszy pościg był również bezskuteczny.

W ciągu tego czasu nie dałem ani jednego strzalu do innej zwierzyny, zawsze w obawie, że spłoszę słonie. Dopiero na równinie w drodze powrotnej ubiłem 4 antylopy i 1 zebrę, na usilną prośbę naszych ludzi, którzy uważaliby za wielki wstyd powracać do domu z łowów bez suszonego mięsa.

Wypocząwszy nieco w Blantyre, wybrałem się znowu w pole, tym razem w kierunku wschodnim, w okolice słonego jeziora Szirwy. Była to wycieczka orjentacyjna, podjęta na razie dla zbadania szans, jakie miałbym tam przy tropieniu słonia na terenie równym, gdzie człowiek może rozwinąć większy pośpiech, aniżeli w górach.

W tym celu wziąłem ze sobą tylko kilkunastu ludzi i najpotrzebniejszy bagaż. Tragarze byli lekko objuczeni, tak, że wrazie natrafienia na świeży trop słonia, można było iść za nim nie zakładając nigdzie stałego obozu, nocować na tropie i kontynuować dalsze tropienie na drugi dzień, natychmiast ze wschodem słońca.

Już w trzecim dniu, w pobliżu jeziora, natrafiamy na tropy. Są i starsze, z przed kilku dni, są i świeższe. Z pomiotu orjetujemy się, że ani jeden nie przedstawia dla nas właściwej wartości.

Czwartego dnia, mamy trop, a właściwie tropy, przypuszczalnie z przed kilku godzin. Tropy szły w odwrotnym kierunku naszego pochodu, od jeziora. Było to stado kilkunastu mniejszych i większych sztuk, przeważnie samic, ale też między niemi dwa spore samce. Zbadawszy wiatr, wiejący trochę z boku, puszczamy się za słoniami. Tropy prowadzą ku górom „Shirehiglands", skąd przed trzema dniami wyszliśmy.

Zła zapowiedź. Jeśli słonie zechcą pójść na stoki wschodnie, którędy wiedzie stara droga, to znowu będzie to samo, co w górach zachodnich. Mimo, że poprzedniej nocy dostałem silnych dreszczów, nie chcę jednak porzucić tej sposobności i idziemy za tropem.

Noc zastaje nas na tropie u podnóży górskich.
Nazajutrz dzień cały gonimy jak opętani. Zaułki, którędy nas prowadzą te gruboskórce, to jakby umyślnie wybrane na to, aby nas torturować. Ale ponieważ wiatr jest dobry, a słonie kręciły się w pewnem miejscu nad strumieniem, żerując trochę, więc jakaś nadzieja mię ożywia i mimo wyczerpania nie daję za wygraną.

Nocujemy znowu na tropie, który nas zawiódł na stoki w kierunku południowym. Rankiem, jeszcze w ciemności, pchamy się naprzód. Po jakimś czasie tropy prowadzą na wysoki, płaski grzbiet górski. Mozolnie zdobywany strome zbocze. Tu słonie wchodzą na udeptaną już przez inne słonie ścieżkę wśród gęstych traw. Teren łatwiejszy, ale co to znaczy?

Niebawem zatrzymuje nas oryginalny znak, myśliwych tubylców, którzy tą ścieżką szli przed nami. Jest to spory guz, uwiązany na trawach, tuż przy ścieżce. Tuż obok drugi i trzeci. Jak mię objaśnia tropiciel, jest to „medycyna", rodzaj zaklęcia, mająca słonie zatrzymać w pochodzie...

Jestem zrozpaczony! — gorzej, bo wściekły!

Tyle trudu i wszystko na nic!

Ale tropiciel mię pociesza. Myśliwi, którzy szli przed nami nie koniecznie musieli iść po tym samym co i my tropie... Wszystko przemawia za tem, że tropili stado, co przeszło tędy pierwej, bo pocóżby zawiązywali guz, gdyby nie byli już sami umęczeni długiem gonieniem?...

Nie bardzo mię to przekonuje, ale postanawiam trzymać się tropu. W tem o godzinie 9-tej (rano) dostajemy trop świeższy. Jest to trop pojedyńczego słonia-samca, który przeciął naszą drogę.

A więc za nim!

Schodzimy teraz w dół. Teren fatalny. Nóg już nie czuję, a pot mię oblewa, bo jestem osłabiony, zaś słońce na stoku praży niemiłosiernie. Wiatr ciągle dobry.

Trop słonia prowadzi nas ku równinie. Jesteśmy u stóp góry. Wylot parowu i strumyk!... Woda! Ale strumyk wśród gęstych i wysokich trzcin, gdzie gubi się dróżka naszego zbiega... Zatem zatrzymujemy się w pewnem oddaleniu zachowując absolutną ciszę.

Może się tam zatrzymał?...

Zanim orzeźwimy się wodą, wysyłam tropiciela i kilku ludzi na przeszpiegi. Dokoła dużo, pojedyńczo rosnących, wysokich drzew. Z ich wierzchołków mogą dokładnie zbadać wąwóz i okoliczny teren. Po chwili wracają, raportując, że w pobliżu nigdzie słonia nie widać.

Zbliżamy się ostrożnie do strumienia. Picie wody i mały odpoczynek. Wszystko odbywa się z zachowaniem największej ciszy, bo tropiciel jest zdania, że słoń może być blisko. I był..., bo gdy po małej przerwie wysunąłem się na kilkanaście kroków naprzód, na skłon wąwozu i przystanąłem na chwilę, zostawiając zbierających się ludzi za sobą, lekki poszum trzcin kazał mi podnieść oczy w górę.

Tuż przedemną, wśród gęstych trzcin, odcina się wyraźnie szara kopuła: czub głowy słonia. Widzę dokładnie zmarszczki na czole i zarys uszu, stulonych na karku. Trąba opuszczona, oczu nie widać, nie widać też kłów. Frontem ku mnie zwrócony, zamarł w bezruchu.

Nieznacznym ruchem zniżam się ku ziemi. Broń nabitą mam w ręku, tylko odciągnąć kurki.

Krak!... Krak... i podnoszę się.

Słoń stoi w tej samej pozycji nieruchomo. Cóż z tego?... Jakże strzelać do słonia, nie sprawdziwszy, że posiada kły?... Zresztą strzał frontowy w głowę z grubej broni, starej daty, o pociskach ołowianych — do niczego!...

W tej chwili, gdy chcę odwrócić głowę, aby przekonać się, czy który z moich ludzi idzie w moją stronę, słoń znika jak kamfora. Dopiero po kilku sekundach słyszę straszny

łomot w dole parowu, jako dowód panicznej jego ucieczki.

I nie on jeden tam był; było ich całe stado i prawdopodobnie to, za którem dwa dni bez wytchnienia goniliśmy. Co więcej, jak się później przekonałem, słoń, który na mnie wyszedł, był raniony, bo na trzcinach, na wysokości człowieka, pozostawił kilkanaście świeżych, krwawych plam.

Kilkugodzinna gonitwa za zbiegami okazała się beznadziejną, bo słonie po jakimś czasie umykały już z wiatrem.

Rezultat tej wycieczki — silny atak febry, po której dłuższy czas byłem niezdolny do większych wysiłków fizycznych...

. . . .

Gdym się znalazł w Blantyre — a przyniesiono mię tam w hamaku tak osłabionego, że nie mogłem się na nogach utrzymać — ogarnęła mię rozpacz. Miałem wrażenie, że już w tym sezonie polować nie będę. Depresja moralna, jaka towarzyszy atakowi malarji — jest czasem gorsza od samej choroby.

Na szczęście atak ten nie miał charakteru złośliwego, a tydzień wypoczynku i pewnych wygód we własnym domku — oczywista przy sporej dozie chininy — przerwały chorobę.

Gdy po jakimś czasie uczułem się jako tako na siłach, wróciła energja i żądza ruchu. Nie mogłem już usiedzieć na miejscu. Gnało mię znowu w pole.

Tym razem jednak postanowiłem zrezygnować z uciążliwych łowów na słonie — a zadowolić się inną, mniejszą zwierzyną, choćby z tej racji, by tegoroczny sezon — przeznaczony specjalnie na polowanie — nie przepadł marnie. Grała tu także rolę ambicja myśliwska, wstyd bowiem było wracać z zakrojonej na większą skalę wyprawy — z kilku głowami antylop.

Wiedziony tą myślą skierowałem swe kroki ku równinom nad środkową Szirą — tam, gdzie przed dwoma laty tyle myśliwskich przeżyłem emocyj.

O słoniach starałem się nie myśleć — zresztą nie spodziewałem się ich tam spotkać w przewidywaniu, że po walkach Portugalczyków z Makololami, które rok przedtem na tych terytorjach się rozgrywały — na otwartym stepie się nie pokażą.

— — — — — — — — — — — — — —

Kiedy po trzydniowym marszu przez góry schodziliśmy na równinę — forsując ostatnie zbocze wśród bardzo trudnych warunków — na przełaj, dopiero poznałem — jak byłem jeszcze niezdolny do tropienia słonia po bezdrożach górskich, gdzie nieraz najzdrowszy i najsilniejszy organizm ludzki — w krótkim przeciągu czasu wymawia posłuszeństwo.

Na kraju dżungli podgórskiej — natrafiamy na ścieżkę. Idąc w kierunku północnym możemy się dostać do wsi Massengieri, gdzie wedle zapewnień mych ludzi — jest nadzieja zaprowiantowania się, bo żywność dla nich, jest już na ukończeniu.

Potem sensacja!

Oto na ścieżce ślady bosych stop ludzkich, pośród których wybija się wyraźnym rysunkiem — odcisk trzewika, o obcasach, nabitych gęsto gwoździami!...

— „Muzungu" i jego „ulendo"![1]) objaśnia tropiciel Namondi, który coś jeszcze tam wypatruje.

Naraz podszedłszy kilkanaście kroków naprzód, klaska palcami: baczność!...

Za chwilkę charakterystycznym ruchem dłoni — wzywa mię do siebie.

Gdym się zbliżył — wskazuje na ścieżkę...

— Patrz!... Trop słonia... na śladach ludzkich!..

Teraz już nic nie rozumiem. Jeśli ciekawem było, kto był owym Europejczykiem, który tędy przeszedł, to prawdziwą zagadką było, co robił słoń na ścieżce ludzkiej, po której podreptał kilka razy, aby znów zniknąć w gąszczu?

Zaleciwszy ludziom absolutną ciszę — zabieramy się z tropicielem do roboty. Staramy się zbadać najdokładniej szczegóły tajemniczego pisma, pozostawionego na ścieżce.

W jednem miejscu siada tropiciel obok ścieżki i każe mi się schylić.

— Tu jedno!... tu drugie!...

— Co to ma być — zapytuję — nie mogąc na razie nic rozpoznać...

— Słoń wąchał ślady ludzkie... Rozpoznał myśliwych więc zawrócił...

Po jakimś czasie dostrzegam to, co zobaczył Namondi. Rzeczywiście! O ile niektóre ślady bosych stóp były stopą słonia w części lub w całości zatarte, to inne wyglądały jakby rozdmuchane, w tych bowiem miejscach pył i drobne ziarnka piasku porozlatywały się promienisto. Zdaniem tropiciela pochodziło to od dmuchnięcia trąbą — przy wydechu.

Stwierdziwszy to, badamy dalej.

Trop słonia powiódł nas niedaleko. Tam wśród krzaków okazuje się naszym oczom całe zbiorowisko tropów, bezładnie zgrupowanych, jakby jakiegoś większego stada!

Wnet potem przekonaliśmy się, że była tu grupa słoni ośmiu do dziewięciu sztuk, która nadciągnęła z gór od strony wschodniej i zatrzymała się opodal ścieżki, prawdopodobnie zwietrzywszy coś podejrzanego. Jeden z tej grupy — samiec — poszedł na zwiady. Natrafiwszy na ślady ludzkie, powrócił do oczekujących go towarzyszy i zaalarmował ich swojem odkryciem. Potem całe stado zawróciło napowrót w góry, umykając już teraz z wiatrem.

Był to strategiczny odwrót tych czujnych, a subtelnych zwierząt przed niebezpieczeństwem ze strony myśliwych, których rozpoznać miał po śladach — jak nieomylnie ocenił tropiciel.

Może miał rację, ale mnie — niedowiarkowi — nie potrafił o wszystkiem przekonać, a nawet nie silił się, uważając, że skoro słonie od ścieżki uciekły i skierowały swój odwrót z wiatrem i za ich tropami nie pójdziemy — nie ma co dalej dysputować, bo do wsi jeszcze spory kawał, a brzuch domaga się jakiegoś posiłku.

W południe dobijamy do Massengieri.

We wsi zastajemy Anglika p. G. Pettita, plantatora z Blantyre, który tu przybył w otoczeniu kilkunastu czarnych — na trzy godziny przed nami. Pomiędzy nimi jest kilku zawodowych myśliwych, którzy przeważnie polują dla swego pana, gdyż P. jest raczej myśliwym „od nie-

[1]) biały człowiek ze swoją karawaną.

dzieli“. Ponieważ tego ranka ubito bawoła — zatrzymali się tu dla wysuszenia mięsa...

W ten sposób mieliśmy sprawę śladów ludzkich na ścieżce — a poniekąd także taktykę słoni — wyjaśnioną.

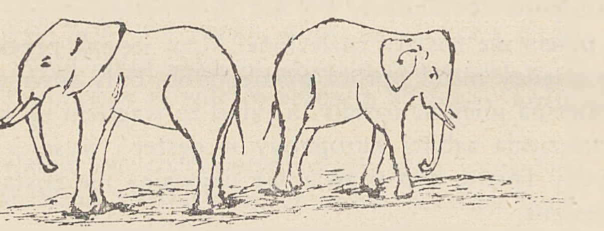
Kto widział, jak murzyni dokonują na polowaniu ćwiartowania i rozbierania mięsa z tak wielkich sztuk zwierza jak bawół, słoń, lub hipopotam ten wie, że operacja taka — o ile biały zostawi im wolną rękę — odbywa się sposobem hien i szakali. Wśród wrzasków i chaosu, z zajadłością, jakby tu chodziło o życie — walczą o mięso. Każdy stara się zdobyć dla siebie jak najwięcej smacznych kąsków — a więc wątrobę, nerki, serce, żołądek itp. a te znajdują się w jamie brzusznej. Walka, jaka się toczy o nie, powoduje, że cała banda tych nagusów stara się wedrzeć do wnętrza — nurzając się wprost we krwi i bebechach zwierzęcia. Rzecz zrozumiała, że tak otalani, długi czas wonieją krwią i wnętrznościami, i woń tę za sobą długi czas wloką.

Namondi w tym wypadku ogromnie mi zaimponował. Był on jednym z najlepszych tropicieli w okolicy. Niestety nie miał szczęścia do słoni — tak, jak jego pan — i z tego względu, tylko z konieczności wziąłem go z sobą na tę wycieczkę.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Po objedzie, który spożyliśmy razem z p. P., mały odpoczynek, a potem spacer w najbliższe otoczenie wioski dla zbadania terenu, o ile on nadaje się do założenia obozu — i ewentualnego polowania.

(Dok. nast.).



WITOŁD ZIEMBICKI

MYŚLISTWO A MUZYKA

X.

(Ciąg dalszy).

2. MÜNCHHEIMER — MASZYŃSKI — SPOHR.

Do ulubionego repertuaru naszych chórów należy „Pobudka na łowy“ M ü n c h h e i m e r a, ze słowami C h ę c i ń s k i e g o. Adam Münchheimer, ur. w r. 1830, zalicza się jak wiadomo, do wybitnych polskich kompozytorów, a Jan Chęciński, to znany autor i artysta dramatyczny, tensam, który napisał libretto do „Strasznego dworu“[1]). Piękna ta pieśń zasluguje na uwagę:

Słońce złoty glob wychyla,
Wiatr poranny z lekka wieje,
Hej, myśliwy, czas nam w knieje,
Chwytaj broń i śpiesz!

Lecz pamiętaj, że tam chwila
Niesie wstyd, lub zdobi chwałą,
Podejdź zręcznie, uderz śmiało,
A wnet padnie zwierz!

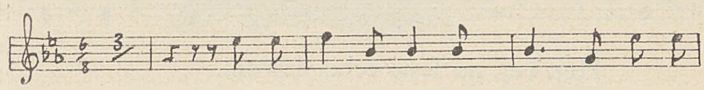
Z pieśnią w ustach, dzielnie, hożo,
Niech cię trudy nie zatrwożą,
Słyszysz, słyszysz tam?

Krzyk ogara, co ujada,
Krzewów szum, gdy zwierz pomyka,
Strzał po strzale — to muzyka,
Co rozgrzewa twoją krew.

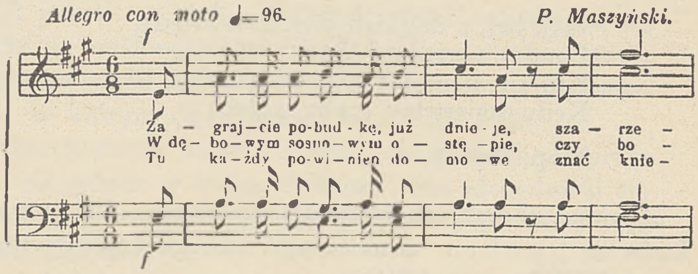
Patrz, z gęstwiny dzik wypada,
Baczność! trupem go położym,
Zaczniem kulą, skończym nożem,
On dzik, — strzelec lew!

Blaski słońca zwolna gasną,
Lecz zwycięstwo świeci jasno,
Chwała, chwała nam!

Przytaczam z kwartetu pierwsze takty tenora I. (z własnych zbiorów):



Inna, oryginalna pieśń, to utwór Piotra M a s z y ń s k i e g o, do słów znakomitego poety, S y r o k o m l i (Kondratowicza). Maszyński (ur. 1855) był jednym z najlepszych uczniów Noskowskiego[2]). Jako dyrektor Towarzystwa śpiewackiego „Lutnia“ w Warszawie, miał prócz pedagogicznej i tę zasługę, że zebrał i wydał „Pierwszy wybór kwartetów męskich“, znany pod nagłówkiem „Lutnia“, na który powoływaliśmy się już w niniejszych szkicach. Utwór, o którym mowa, ma nazwę: Pieśń myśliwska[3]). Brzmi ona w pierwszych taktach jak następuje:



Słowa Syrokomli:

Zagrajcie pobudkę, już dnieje, szarzeje,
Trop łatwo na rosie zobaczym,
Ruszajmy na bory, ruszajmy na knieje,
Potykać się z leśnym kudłaczem.

Dwururka przez plecy, a trąbka u pasa,
Niech krew się rozigra w nas żywiej,
A psiarnia ze smyczy niech sobie pohasa,
Niechaj się do pola zaprawi.

W dębowym, sosnowym, ostępie, czy borze,
Pocieszmy się dobrą nadzieją,
Nie idźcie za nami, pudlarze i tchórze,
Was lasy litewskie wyśmieją.

[1]) Bliższe dane o Münchheimerze zob. w Enc. Orgelbr. X, 353 (tamże portret), a o Chęcińskim tamże, III, 445 (również z portretem).

[2]) O Maszyńskim Enc. Orgelbr., X, 29.

[3]) W zbiorze Maszyńskiego, „Lutnia“ zeszyt II, wyd. 2, Warszawa 1889, str. 268.

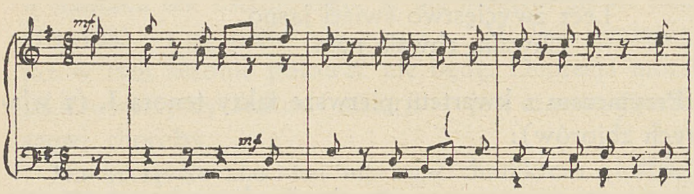
Bo z dziadów, pradziadów, tu echo borowe
Strzał celny rozeznać jest w stanie,
Kto trąbił w tych lasach, kto pił pogrzebowe,
Ten zuchem odrazu zostanie.

Tu każdy powinien domowe znać knieje
I każdy znać pole od dziecka,
Zagrajcie pobudkę, już dnieje, szarzeje,
Ozwij się drużyno strzelecka.

Niech głosy po rosie zagrają, popłyną,
Aż echo drzemliwe zatrzęście,
O rozbudź się krasna, o luba dziewczyno,
Daj rączkę na drogę, na szczęście!

Ale jest i druga pieśń Maszyńskiego, znana pod tytułem „Piosnka myśliwska", z tekstem słownym Władysława Orkana.

Początek partytury na 4 głosy (z własnych zbiorów):



Hej, hej, po lesie echo dzwoni,
Hej, hej, zahuczał bór.
W cieniach łyskają światła broni,
Mienią się tęczą głuszych piór.

Hop, hop, już echo psów zagrało,
Hop, hop, pomyka cicho zwierz,
Baczność! hop, hop, a celuj śmiało
Odważnie, prosto w serce mierz.

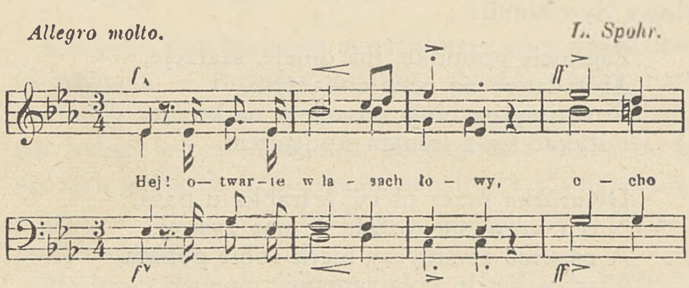
Hej, hej, głos leci od dąbrowy,
Przeczysty płynie śpiew,
Wyszła Djana w las na łowy,
Krasnych królowa cudna dziew.

Hop, hop i t. d.

Hej, hej, z dalekich puszcz krawędzi
Ponury zagrzmiał róg.
Kto się w nieznaną kniej zapędzi,
Kędy śmiertelny czyha wróg...

Hop, hop i t. d.

Z pieśni chóralnych zasługuje na uwagę „Polowanie" Ludwika Spohra, znamienitego naszego kompozytora, ur. w XVIII w. (r. 1784)[4]).



Hej, otwarte w lasach łowy,
Echo niesie głosy w dal,
Sadzi zwierz przez pola, rowy,
Dzielny strzelcze, celuj, pal!

(C. d. n.)

[4]) Zob. o nim Enc. Orgelbr. XIV, 25, — a pieśń w „Lutni", zesz. II, j. w., str. 265.

FRANCISZEK hr. MYCIELSKI

Jeszcze o polskich ładunkach śrutowych

W ostatnich numerach „Łowca" ukazały się dwa bardzo interesujące artykuły na temat jakości polskich ładunków śrutowych. Jako myśliwy, który zabija w każdym sezonie tak w kraju, jak i zagranicą po kilkaset sztuk zwierzyny śrutem, pragnę również parę uwag na ten temat dorzucić.

Od kilku lat poluję co roku na kuropatwy na dawnych Węgrzech, a obecnej Czecho-Słowacji w okolicach Pressburga i Nitry. Ze względu na trudności, z jakiemi jest połączone przewiezienie broni przez granicę, strzelam tam z broni pożyczanej, a to z dwóch strzelb firmy Sauer u. Sohn Suhl, kal. 16. Naboje kupuję w firmie Seifert w Pressburgu, wyrobu powyższej firmy, lub wyrabianych przez Novotnego. Śrut austrjackiej numeracji 10.

Polowania te, zwykle w 2 lub 4 strzelby, odbywają się w ten sposób, że myśliwi idą wzdłuż pasów kukurydzy, mających około 30—40 kroków szerokości, a kukurydzę przegania się chłopcami. Kuropatwy na czas największego upału kryją się w tych pasach kukurydzianych, tak że w każdym pasie znajduje się po kilka stad, — dlatego też polowania te zaczynają się z reguły nie wcześniej, niż o 10-tej rano, a o 3-ciej popołudniu zwykle się kończą.

W roku bieżącym zabiłem na trzech takich polowaniach około 350 kuropatw. Na tę ilość miałem 6 sztuk kuropatw zgubionych, t. j. takich, które po strzale spadły, a potem nie zostały znalezione. Mam jednak przekonanie, że między niemi oprócz postrzałków, były również takie, które na miejscu zostały, a tylko ze względu na trudność znalezienia zabitej kuropatwy w gęstej i wysokiej kukurydzy (psów tam prawie nie używają) nie zostały podniesione.

W Polsce, oprócz małej ilości kuropatw zabitych u siebie, polowałem w tym sezonie tylko raz.

Strzelałem ze strzelby Auguste Francotte, kal. 12, nabojami Warsz. Spółki Myśl. śrut numeracji polskiej 5 i 6. Na polowaniu tem zabiłem 38 kuropatw, a na te miałem 5 kuropatw zgubionych, t. j. takich, które po strzale spadły i nie zostały podniesione. Ponieważ zaś polowano przeważnie w niskich i dość rzadkich kartoflach, więc o nieznalezieniu zabitej sztuki nie mogło być mowy.

Ten znaczny procent postrzałków nieznalezionych, muszę przypisać tylko winie ładunków. Nie mówiąc o tem, że miałem kilka wypadków, opisanych w artykule p. Drohojowskiego w „Łowcu" z dnia 1-go września b. r., a mianowicie, że kuropatwa wyraźnie strzał zaznaczyła, ale po kilkudziesięciu krokach wyrównywała lot i normalnie odlatywała, zauważyłem w porównaniu do ładunków zagranicznych jedną ciekawą rzecz: a to, że nasze ładunki nierówno strzelają. Nie mogę bowiem sobie inaczej wytłumaczyć faktu, że czasem kuropatwa strzelana na dalszą odległość pada martwa w ogniu, a innym razem strzelana całkiem blisko i wyraźnie trafiona, nie spada, ale zaznaczywszy strzał, odlatuje. Tego rodzaju wypadku przy strzelaniu zagranicznemi ładunkami nie miałem ani jednego; albo kuropatwa była chybiona „na czysto" i zdrowo odlatywała, albo trafiona padała w ogniu. Zresztą po za-

biciu kilkuset kuropatw, nabiera się pod tym względem pewnej wprawy i można sobie całkiem dokładnie zdać sprawę, czy strzał był celny, czy pudło.

Na podstawie więc powyższych doświadczeń, muszę bezwzględnie stwierdzić, że ładunki polskiej fabrykacji stanowczo mają słabszą siłę zabijania, niż ładunki zagraniczne. Zupełnie zgadzam się również z twierdzeniem p. Drohojowskiego, że krycie strzału polskich ładunków jest lepsze — zauważyłem bowiem na polowaniach, w których brałem udział zagranicą, znacznie mniejszy procent ptaków „rozbitych" śrutem, niż u nas.

Nie mogę natomiast zgodzić się z twierdzeniem, zawartem w artykule Pana Gen. Maryańskiego, że prochy polskie są mało wrażliwe na mróz. Porównania pod tym względem z ładunkami zagranicznemi przeprowadzić nie mogę, gdyż ani w Austrji, ani w Czechach, ani na Węgrzech, zimowych polowań w naszem znaczeniu niema. Na zające i bażanty poluje się tam w drugiej połowie listopada, a więc w porze, w której rzadko temperatura schodzi niżej 0^{0} R., co oczywiście zupełnie nie jest miarodajne w ocenie wytrzymałości ładunków na niskie temperatury. Natomiast zabijając w Polsce co roku po kilkaset zajęcy w zimie, kiedy temperatury czasem w ciągu jednego dnia wykazują znaczne różnice, miałem pod tym względem ciekawe doświadczenia.

W ubiegłym sezonie brałem udział w polnem polowaniu na zające w pierwszej połowie stycznia, u mojego sąsiada Dra L. Strzelałem nabojami Warsz. Sp. Myśl., prochem „Sokół", śrut polskiej numeracji 1 i 2. Warunki następujące: mała pokrywa śniegu, górki do słońca z niego ogołocone, temperatura rano na zaczęciu polowania — 2 do 3^{0} R., w południe odwilż, wieczorem silniejszy mróz, około 5—6^{0} R.

Na polowaniu tem charakterystycznem pod względem różnicy temperatur, zauważyłem, że zające strzelane rano, a więc przy nieco niżej 0^{0} na normalną odległość strzału w polu, t. j. między 30—60 kroków padały nieźle, ale stosunkowo znaczny procent albo szedł jeszcze kilkadziesiąt kroków i potem padał, albo tłukl się na miejscu, tak, że nagonka musiała je kijami dobijać. W południe, przy odwilży procent powyższy się znacznie zmniejszył, natomiast znacznie powiększył się procent zajęcy, które padały martwe w ogniu, zwłaszcza strzelane na bliski dystans. Wyraźnie można było przytem odczuć znacznie większą „ostrość" strzału, jak również potrzebę mniejszego zakładania na dalsze odległości. W ostatnim zaś kotle tego dnia, gdy mróz doszedł do jakichś 5—6^{0} R., 6 zajęcy, które mi bardzo wyraźnie strzał zaznaczyły, poszły i wogóle nie zostały znalezione. Strzelane były na odległość nie większą, niż 50 kroków.

Nie będąc fachowcem, nie mogę oczywiście dochodzić przyczyn podanych wyżej faktów. Są one jednak niezaprzeczone i od wielu myśliwych słyszałem podobne utyskiwania na jakość polskich ładunków śrutowych, oraz na ich nierównomierność, szczególnie jeżeli porównamy wyroby różnych wytwórni.

Słyszałem niedawno, że jeden z polskich myśliwych, jadąc do Anglji, wziął ze sobą kilka polskich ładunków i dał je u jednego ze światowych rusznikarzy w Londynie do zbadania. Rusznikarz ten podobno orzekł, że proch jest zupełnie pierwszorzędny, ale że w stosunku do niego jest za wielki ładunek śrutu. Czy nie tłumaczyłoby to balistycznie doskonałego krycia, a mniejszej siły zabijania? Możeby fachowców ta ocena zainteresowała.

Mam nadzieję, że i inni nasi myśliwi, doświadczeńsi odemnie zabiorą głos w tej interesującej dyskusji i z punktu widzenia fachowego wyjaśnią sprzeczności, które tak interesująco Szanowni Autorowie dwóch ostatnich artykułów „Łowca" szerszemu gronu kolegów z pod znaku Św. Huberta, na temat polskich ładunków śrutowych, przedstawili. Mam przekonanie, że dla wszystkich to będzie z korzyścią i różne cenne spostrzeżenia pod tym względem będą mogły dojść tak do myśliwych, jak i do wytwórców naszych ładunków śrutowych.



Gen. WALERY MARYAŃSKI

Pogoń dzika na nartach

Orygilne zdarzenie miało miejsce w naszym powiecie. Oto jeden z najlepszych naszych myśliwych, p. Mgr. R. H., dowiedziawszy się, że w rewirze Gołogóry jest otropiony gruby dzik — wyruszył na niego na nartach, śnieg bowiem dnia tego (10 lutego) był 1 — 1,5 m głęboki. — Również dwaj gajowi i jeden chłopak, którzy mu towarzyszyli — założyli narty.

Dzik jednak — stary „doświadczyński" — nie dał się wyprzeć na myśliwego i przechodził tylko z miotu w miot; w dodatku strzał był niemożliwy z powodu głębokiego śniegu, w którym dzika prawie widać nie było.

Ta bezskuteczna zabawa trwała do południa, sprzykrzyła się jednak w końcu dzikowi i ten zdecydował się przerwać przez sąsiadujące pola i dąbrowy (około 6 km) w rewir Zalesie.

Na polach był jeszcze głębszy śnieg, który jeszcze bardziej utrudniał dzikowi posuwanie się naprzód. P. R. H., biorąc tę ostatnią okoliczność pod uwagę i licząc na to, że dzik, zmęczony — prawdopodobnie gdzieś w krzakach zalegnie — zdecydował się na dalszy pościg na nartach przez pola. Miał w ręku dryling „Neptun" $\frac{9{,}3\ \text{mm})}{(16 — 16}$ (kule miedziano-niklowe, proch bezdymny „Dzik") — a w torbie 5 nabojów kulowych (półpłaszcze) i 1 nabój (pełny płaszcz); oprócz tego kilka nabojów śrutowych 4 mm.

Pogoń na nartach, do której przyłączyli się także dwaj gajowi i chłopak — była o tyle łatwa, że dzik, pruł na polu formalny rów w głębokim śniegu. Po 4 km pościgu przez pola, doszedł p. R. H. dzika, który zmęczony stał pod dębem, dość dobrze widoczny. Odległość wynosiła około 150 kroków. Pierwsza kula, wystrzelona pod bardzo ostrym kątem — drasnęła dzika w prawy bok, pru-

jąc — jak się później okazało — około 16 cm długą smugę — ale w rezultacie zrekoszetowała, nie wchodząc do wnętrza. Dzik ruszył w susach naprzód, a za nim myśliwy, gajowi i chłopak; pan R. H. musiał nawet futerko zrzucić, by się do niego przybliżyć; osiągnąwszy odpowiedni dystans, rozpoczął ostrzeliwanie — ale strzały te były albo zupełnie chybione — albo wyrywały dzikowi trochę szczeci z grzbietu, widocznego z głębokiej, śniegowej bruzdy.

Tak wyjechały z lufy bezskutecznie wszystkie 5 półpłaszczykowych kul; została tylko jedna o pełnym płaszczu.

Wkońcu na jakie 120 kroków — gdy dzik pokazał pełną flankę, padł ostatni strzał kulowy, po którym zwierz zwolnił tempa, widocznie dobrze trafiony. Pogoń zbliżyła się już na 70—80 kroków.

Na śniegu była widoczna obfita farba po obu stronach tropu (jak się później okazało, po ostatniej kuli, która tuż pod kręgosłupem przeszła na wylot). Chcąc dzika dobić, zaczął p. R. H. ścigać go na równoległej linji i zrównał się z nim; w braku innej amunicji zaczął go ostrzeliwać śrutem — ale bez skutku, mimo, że kilka strzałów dał na 40 kroków, mierząc w ucho.

Zwierz kłapał tylko wściekle kłami. W końcu sprzykrzył mu się ten „oblewany poniedziałek" śrutem i postanowił tej krotochwili położyć koniec; zwrócił się błyskawicznie ku myśliwemu i ruszył w susach do szarży, jak na dzielnego reprezentanta dziczego rodu przystało. W mig znalazł się przed nim; jedyny ratunek dla pana R. H. był w dwóch nabojach śrutowych, znajdujących się w lufach.

Zdając sobie z tego sprawę, że strzał na sztych śrutem może być tylko skuteczny na kilka kroków, przypuścił go na tę odległość i „wygarnął" z obu luf.

Dzik runął myśliwemu na narty, zwalił się na niego, wywracając go — i po chwili... zaczął się podnosić! Sytuacja stała się bardziej niż krytyczną — a p. R. H. czuł się już jedną nogą... w rewirach Św. Huberta — gdy zacne dziczysko zwaliło się z nóg, wydając ostatnie tchnienie.

„Bohaterscy" gajowi, którzy „mały swij rozum i z zadu trymały sia" — nie mieli z początku odwagi wydobyć p. R. H. z pod martwego zwierza i dopiero po dłuższym czasie, gdy dzik definitywnie znaku życia nie dawał — wyruszyli na pomoc.

Był to potężny wycinek. Byłby on niezawodnie skończył myśliwego, gdyby nie zimna krew i celne strzały ostatnie, które na tak bliską odległość rozbiły kość czołową i uśmierciły rycerskiego zwierza.

Św. Hubertowi cześć!



JAROSŁAW HUBALEK

„Cygan Mykita"

Ciąg dalszy.

Los chciał, że któregoś dnia przyniósł gajowy z miasta wspaniałego koguta, olbrzyma trzykilowego, na przebłaganie żony. Rano go przyniósł, a wieczór znalazł pod lasem parę piór z ogona. To zadecydowało o losie liszki.

Od tej chwili codziennie zasiadał gajowy pod lasem. Drób wypędzano umyślnie dalej od obejścia na przynętę. Nie oparła się pokusie biedna liszka. Podeszła... i stało się. Przygarść śrutu ułożyła ją w miękkim mchu. Skrzywił się gajowy, wziąwszy nieboszczkę w rękę. Ledwie trzy kilo! Kożuszek wytarty, na piersiach pełno krwawiących ranek od ząbków i pazurków. Zakopał ją na gnojowniku, splunął i poszedł do gospody.

A w norze pięć lisiąt niecierpliwie wyglądało obiadu. Co się z tą mamą dziś dzieje? Tak długo nigdy jeszcze nie była poza domem. Choć bez zdobyczy, wpadała przecież do nory co pewien czas, zbadała czy wszystko w porządku, i znów szła w świat. Dziś, ledwie kilka myszek przyniosła i wpadła, jak kamień w wodę...

Z nudów oczekiwania zaczęły lisięta zwykłe swe igraszki przed norą. Zaczęło się od najulubieńszej zabawy w „kotka i myszkę". Jedno leżało na czatach, drugie starało się niepostrzeżenie, centymetrowemi kroczkami, przekraść obok. Czatujący kotek miał za zadanie obliczonym ściśle krokiem rzucić się na kark myszki. Jeśli chybił w skoku, lub broń Boże chwycił groźnie wyszczerzonemi ząbkami za grzbiet lub kitkę, nie za kark, przegrywał — i zabawa rozpoczynała się na nowo.

Mały cygan, jak przezwano w rodzinie naszego czarnego bohatera, w zabawie udziału nie brał; uważał ją za zbyt dla niego dziecinną. Był najlepiej rozwinięty z całego rodzeństwa, największe miał wymagania, toteż po maleńkiej myszce, spożytej na śniadanie, zaczął uczuwać głód. Wygrzał się na słońcu, stoczył zaciętą walkę z dokuczliwemi pchłami, potem usiadł na wystającym nad norę głazie i wszystkie zmysły posłał w dal, na spotkanie matki.

Pod wieczór cała gromadka ze ściśniętemi brzuszkami schroniła się do nory. Noc wlokła się do końca, a żołądki już nie prosiły, ale groźnie krzyczały o swoje prawa. Bolesny skurcz je skręcał. I — rzecz dziwna — najwięcej cierpiał nasz Cygan. Całą noc oka nie zmrużył, o świcie zaś wyszedł z nory wypatrywać matkę, za nim, po chwili, matczyna faworytka Ryżka. Budziła się natura, szmerów i głosów czujnie nastawione uszy lisiąt łowiły całe mnóstwo, tylko szmeru matczynych kroków nie było między niemi.

Długo tak siedzieli obok siebie smutni. Już słonko zaróżowiło szczyty gór, rosa zwilżyła miękkie kożuszki, ranny chłodek dokuczał — oni wciąż siedzieli. Głód trapił ich bezlitośnie, jeno w oczach Cygana grał błyskami gniewu, u Ryżki wyrazem smętnej melancholji.

W norze tymczasem wszczęła się jakaś zwada. Jedno z lisiąt od chwili urodzenia było jakieś słabowite. Bóg wie, co mu brakowało, dość, że nie brało nigdy udziału w zabawie, a przy gwałtowniejszym ruchu zaskomlało z bólu. Przy jadle poprzestawało na niedojedzonych resztkach, a zdobywczości nie wykazywało ani za grosza. Bo-

lesne żarty i dokuczania rodzeństwa znosiło biedactwo z cichą rezygnacją, jak gdyby wiedząc o tem, że w przyrodzie najwyższem prawem jest siła i kto niema siły, nie ma nad sobą prawa. Więc odpychane, kąsane i drapane, zaszywało się w kącik nory, byle zejść z oczu rodzeństwa. I teraz — nawykłe do głodu — nie odczuwało go tak boleśnie i cichutko leżało, zwinięte w kłębuszek. Lecz pozostałe dwoje lisiąt, w ostatniej pasji głodowej, postanowiło cały gniew swój wywrzeć na biednym kalece. Po chwili w norze ozwało się gniewne warczenie i cichy skowyt. Wywiązała się bójka, może w innych warunkach niewinna, obecnie jednak niebezpieczna, bo podsycana szarpiącym wnętrzności głodem. Broniło się zrazu biedactwo, ale skąpy zapas sił nie na długo starczył, a atakujące lisięta podwajały uderzenia ostrych ząbków. Jedno chwyciło chorego za gardło, drugie równocześnie za zadnią nóżkę. Trysnęła ciepła, świeża krew, podniecając swym zapachem głód atakujących.

Gdy Cygan z Ryżką wrócili do nory, walka była skończona. Jakieś świeżo zrodzone myśli, czy obudzone codopiero instynkty wykwitły w mózgu awanturników, bo podeszły i ciekawie obwąchiwały Cygana i Ryżkę. Na kalekę nikt nie zwracał uwagi — bo i poco? W ciemnym kąciku leżał cichutko i dogorywał, krwawiąc obficie z rozciętego gardła. Po upływie godziny kurczowy wstrząs drobnego ciałka zwiastował koniec życia, które chyba dzięki ślepemu przypadkowi, próbowało kwitnąć w tem drapieżnem otoczeniu. Pomyliła się Przyroda i — naprawiła swą pomyłkę.

II. W SZALEŃSTWIE GŁODU.

Wyczerpani walką, bratobójcy zwinęli się w kłębek i spali spokojnie. W norze panowała zupełna cisza, bowiem Cygan z siostrą znów wyszli czekać na powrót matki.

Słońce stało wysoko nad lasem, a hen, ponad koronami starych buków krążył orzeł, zataczając majestatyczne kręgi. Dojrzał znać młode liski, bo zsunął się w dół i znikł za ścianą drzew, by po chwili z rozstawionemi do chwytu szponami runąć na wylot nory. — Ślepy traf, a może w ostatnim złomku sekundy dostrzeżony cień orła ocalił liski. Błyskawicznym ruchem zniknęły w ujściu nory, a orzeł z powrotem wzbił się w górę, unosząc w ściśniętych szponach kilka włosków z kitki Cygana.

Cygan zaś więcej był oburzony, niż przestraszony tym wypadkiem. Co za bezczelność! Co za arogancja głupia — na lisa się porywać! Żeby to jeszcze jastrząb, czy krogulec — nie mówię; ale taki niezgrabny kolos...

Nie wytrzymał długo w norze. Bolesne uczucie głodu wypędzało go z domu za czemś nieznanem, na świat Boży. Chyba matka wróci nareszcie? Co jej się mogło przygodzić? Nie boi się przecież żadnego stworzenia leśnego, skoro kiedyś przyniosła tego ogromnego ptaka z czerwonym dziobem i czerwonemi nogami, a palcami obciągniętemi taką śmieszną błoną. A jaki był smaczny! Dwa dni go wszyscy jedli, a potem długo jeszcze bawili się białemi skrzydłami. Gdzieś tu muszą jeszcze leżeć podarte piórka.

Snać o tem samem myślała siostra, bezwiednie idąc za bratem w pobliskie gąszcze na poszukowanie miłych pamiątek lepszych dni. Znaleźli niebawem stare skrzydło gęsie, umazane w błocie. Zaczęli je chciwie obgryzać, ale nic tam już nie było pożywnego, nawet dla tak wygłodzonych żołądków, a kość zbyt była twarda na ich młode ząbki.

Po paru daremnych próbach, jeszcze głodniejsi siłą wspomnień, wrócili przed norę, gdzie zastali dalszych dwoje rodzeństwa, z głośnem skomleniem kręcących się u wejścia. Gdzieś w kącie zapomniany skok starego postrzałka-zająca był ich ostatnią nadzieją. Lecz i ta zawiodła. Z zajęczego skoku zbyła jeno cienka kość, wobec której wszelkie wysiłki szczenięcych ząbków były bezskuteczne. I to było jedyną, pośmiertną zemstą biednego zająca nad lisim rodem.

Mijał już drugi dzień głodu, wiele gorszy od pierwszego. Nadzieja powrotu matki jeszcze nie wygasła ze szczętem. I nic dziwnego; bo co mogły wiedzieć o życiu dwumiesięczne lisięta. Czyż mogły znać ten bezmiar obłudy, chytrości i fałszu, cechujący człowieka? Wszak nie zetknęły się nawet z jego tropem. Czyż mogło im przyjść na myśl, że matkę, ten wzór rozumu i siły, spotkać mogło jakieś nieszczęście? O żelaznej rurze, miotającej ogień i śmierć, nie miały przecież pojęcia. Dotąd nie widziały jeszcze ani jednego niepowodzenia matki. Zdobycz, którą im przynosiła, była w ich oczach dowodem całego szeregu zwycięstw. I naraz ta matka nie wraca, nie wraca choćby bez zdobyczy! Dlaczego? Co to ma znaczyć? Na to pytanie, szczenięce umysły lisiąt nie mogły dać odpowiedzi.

Nie rozumiał tej zagadki, ani wyjątkowo rozwinięty Cygan, ani nad miarę chytra Ryżka, nie mówiąc już o reszcie rodzeństwa. Nerwowo biegały wkoło nory i skomlały zcicha ,co chwila nastawiając pod wiatr cienkie mordki. Niestety — ani śladu matczynego zapachu. Więc w beznadziejnej rozpaczy cała czwórka wsunęła się do nory, gdzie w zacisznym kąciku leżał, sztywny już, braciszek. Jeden lisek obszedł go wkoło i, poznawszy własną krew, zaskomlał. Cygan dotknął go nosem, obwąchał i smutnie legł obok niego. Ryżka tylko, widocznie najmniej sentymentalna, posłuszna nakazowi głodu, zaczęła lizać skrwawioną nogę brata. Pierwszy wstręt, czy może głos sumienia, minął szybko i smak krwi okazał się możliwym. Podświadomie chwyciła ząbkami skórę — oddarła jej kawałek. Nie był to kąsek wyborowy, ale nie czas dogadzać podniebieniu, gdy głód skręca wnętrzności, gdy chodzi o własne życie. Nim się zdołała opamiętać, co robi, ucztowała na dobre.

Nie uszło to uwagi innych. Może już dawno mieli to samo na myśli? Może już dawno rozgrzeszyli się głodem z kainowych zamiarów? Wszak instynkt życia łamie wszelkie skrupuły, a zbrodnia, popełniona z nędzy, nie jest zbrodnią. Radzi byli z tego, że Ryżka pierwsza rozwiązała te problemy życiowe, a sam fakt, że początek zrobił kto inny, znacznie im ulżył. W jednej chwili rzucili się wszyscy na ciało nieboszczyka, a po małej chwili zostało z niego tylko parę kostek i lisięta ze złym ogniem w źrenicach, warcząc na siebie gniewnie, posnęły.

Dopiero na drugi dzień obudziła ich silna ulewa i burza, szalejąca nad lasem. Drzewa gięły się, jak wiotkie trzciny, liście rwane wichrem, tańczyły dziką sarabandę, a mętne strumienie wody toczyły się z gór na dna wąwo-

zów i rozpadlin. W górze coś się przewalało, coś chrobotało, jakby kto potrząsał olbrzymim worem orzechów, i na ziemię runął potok gradu wielkości sikorczego jajka.

Liski nie ruszyły się z miejsca, przejęte grozą nieznanego zjawiska. Czyżby to była kara przyrody za bratobójstwo? Odległe grzmoty górskie znały już ze słyszenia, te jednak bliskie i niemilknące prawie pioruny, przejmowały je takim lękiem, że — przytulone do siebie — bały się niemal własnego oddechu.

Wreszcie uciszyła się burza i słońce znów ozłociło boży świat. Każdy listek błyszczał — obmyty — świeżą zielenią. Nic to, że niejeden, podziurawiony, ścięty gradem, płynie z brudnym potoczkiem het, w doliny; przyroda cała raduje się minionem niebezpieczeństwem, tchnie nowem życiem.

Głód, chwilowo zaspokojony, wygnał z nory nasze liski. Jakże nie licowały biedne z odmłodzonem burzą otoczeniem! Niczem nie przypominały tych wesołych, rozbawionych, figlarnych, miłych szczeniąt z przed tygodnia. Dziś, jedno za drugiem, wyłażą z nory chwiejniejszym krokiem, brzuszki głęboko wpadnięte, wzrok zmęczony, źrenice rozszerzone gorączką głodową, kożuszek zwichrzony, potargany, wiszący luźno na wychudłem ciele, jakby za duży. Zamiast dawnej wesołości — ciche skomlenie, ponura nieufność i czułostkowa obraźliwość. — Apatji nie poddawał się jedynie Cygan i Ryżka, ślepo wierząca bratu.

Leżał właśnie na wielkim kamieniu i knuć musiał jakieś plany tajemnicze. Ryżka z ufnością wyciągnęła się obok niego. Po godzinie tej niemej kontemplacji wstał, otrząsnął się, podrapał za uchem i znikł w gęstwinie. Ufna Ryżka poszła, jak cień, za nim.

Pozostałych dwoje, zmęczonych bezcelowem bieganiem koło nory, po niewczasie zauważyły brak Cygana i Ryżki. Zajrzały sieroty do nory, obszukały jej wnętrze, obszukały najbliższe otoczenie i bez słowa pożegnania — ruszyły w świat, każde w inną stronę.

Tymczasem Cygan z siostrą sznurował stale naprzód wzdłuż świeżo wyżłobionej wyrwy. Woda już prawie opadła, tu i ówdzie tylko stały niewielkie kałuże. Zbliżył się do jednej i badawczo dotknął językiem nieznanej cieczy. Przyjemnie chłodziła podniebienie i gardło. Liznął raz jeszcze i doznał miłego uczucia orzeźwienia, pomimo, że niewprawny język nie umiał ułożyć się w łyżeczkę i zamiast napić się — pozwolił się ledwie nalizać. Mniejsza z tem; czasu jest dość, najważniejsze, że znalazł się środek zbawczy na wysychanie gardła! Niebawem jednak przekonali się młodzi wędrowcy, że woda gasi wprawdzie pragnienie, ale nie zaspakaja głodu. Wtem Cygan swym wrażliwym noskiem poczuł zapach mięsa — i po krótkiem poszukiwaniu, znalazł zabitą deszczem dżdżownicę. Chwycił ją tak szybko, że Ryżka zdołała urwać kawałek przy samej mordce brata. Wyborny kęsek! Opodal znaleźli jeszcze dwie, a w dodatku tłustego ślimaka.

Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, byli oboje prawie na pół syci. Menu nie było coprawda urozmaicone, same dżdżownice i ślimaki, ale zato w ilości niemal dostatecznej. Żal im tylko było tłustego padalca, który w ostatniej chwili zdołał się wsunąć w szparę skalną.

Pod wieczór wcisnęli się pod ogromny, napół spróchniały pień, a że żołądek, nasycony jako tako, przestał wołać o swoje prawa, usnęli niebawem, śniąc może o tłustym padalcu.

III. PIERWSZE KROKI.

Noc była cicha. Miljony gwiazd świeciło na czarnem, jak smoła, niebie, nad ziemią zaś przeciągał łagodny wietrzyk.

Na suchym sęku pnia, pod którym leżały nasze liski, usiadła sowa palona, pokręciła się chwilę niespokojnie i zakwiliła żałośnie. Głos jej poniósł się ciemnemi koronami drzew daleko w nocną ciszę. Usłyszał go ptak, śpiący w gałęzi, stanęła na leśnej ścieżce ruda myszka i z cichym szelestem zaszyła się w naniesione burzą liście.

Usłyszały go i liski, a Cygan pierwszy nastawił ciekawie uszka. Wrodzonym instynktem drapieżcy odgadł, że w pobliżu jest coś żywego, a więc i coś jadalnego. Ujrzał sowę na suchym sęku i podkradł się bliżej. Oczywiście sowa dojrzała go jeszcze wcześniej, lecz ufna widać w różnicę poziomu, nie zerwała się, i tylko dla dodania sobie fantazji, machnęła parę razy skrzydłami. Cygan skoczył, ale gdzie tam! Brakowało najmniej dwa metry. Spróbowała i Ryżka — z podobnym skutkiem. Sowa wytrzeszczyła na nie ogromne, żółte oczy i zda się urągać ich niedołęstwu. Zawstydzeni, opuścili nocne schronisko i ruszyli na poszukiwanie śniadania.

Brak im było doświadczenia, a przedewszystkiem nie umieli jeszcze chodzić po lesie — tak, jak powinien chodzić lis. Każdy listek pod ich nogami szeleścił, o każdy kamyczek zawadzali pazurkiem. Nic też dziwnego, że do rana zdobycz ich stanowiło ledwe parę owadów i ślimaków. Cyganowi znów nie powiódł się jeden skok. Tuż nad ziemią ujrzał śpiącego, młodziutkiego kosa. Podkradł się, jak mógł najbliżej i skoczył ale chybił. Ryżka zaś napróżno kłapła ząbkami, by chwycić przelatującego jej przed samym nosem nietoperza. Niema co — życie jest ciężkie dla niedoświadczonych i słabych, a przecież nasze liski były jeszcze, prawdę mówiąc, słabemi dziećmi. Zczasem, oczywiście, przy wrodzonem uzdolnieniu i dziedzicznym instynkcie i ich los się polepszy, lecz ileż do tego potrzeba wprawy i nauki, a głównie cierpliwości.

Zwolna budził się dzień, a zapowiadał się pięknie i ciepło. Gwiazdy bladły, przeciągał chwilami chłodny wietrzyk, mile gładząc zwichrzone kożuszki lisków. W niedalekiej leszczynie ozwała sę pierwsza wrona. Nad łąką wisiała gęsta mgła poranna, w której z wyciągniętemi badawczo noskami, brodzą nasze liski. I wietrzyk poranny przyniósł im wraz z wonią kwiatów, paproci, wyczyńców i macierzanki coś, jakby zwierzęcego. Cygan w tej chwili pociągnął noskiem dla zorjentowania się w kierunku, Ryżka aż drżała z niecierpliwości. Krok za krokiem pełzali do celu, korzystając, dla ukrycia się, z każdego krzaczka, każdej nierówności terenu. Kto ich tego nauczył? Nikt. Instynkt ten był jednym z wielu darów Przyrody, otrzymany w chwili przyjścia na świat. Czyż mogły lisięta inaczej zbliżać się do spodziewanej zdobyczy, skoro ich przodkowie od tysięcy lat do niej pełzali?

(C. d. n.).

Z ostatniej chwili

W chwili oddania niniejszego numeru do druku dochodzi nas bolesna wiadomość o śmierci niestrudzonego naszego współpracownika i delegata

KAZIMIERZA WYSOCKIEGO.

Ograniczamy się z konieczności do tej krótkiej wzmianki, poświęcimy natomiast w najbliższym numerze naszego pisma Zmarłemu dłuższe wspomnienie. Red.

Korespondencje

Niecodzienni goście.

Dnia 30 sierpnia zjawiło się nad dworem stado złożone z 50 bocianów i po kilkakrotnem krążeniu nad domem, poszło dalej w kierunku południowym. Jeden odłączył się od stada i zapadł w ogrodzie na drzewie. Był to wspaniały okaz „czarnego bociana", młody jeszcze egzemplarz, gdyż nogi i dziób były jeszcze zielone. Trzy dni nocował siedząc na budce z narzędziami ogrodniczemi i brodził po rzece, oraz chodził po polach najbliżej położonych.

Dnia 8 b. m. zjawił się drugi starszy osobnik już z czerwonemi nogami i dzióbem.

Kilka dni mieliśmy tu na Woli innego gościa, a to młodego, ale już zupełnie wyrośniętego orła przedniego. Złowienie tego wspaniałego ptaka, odbyło się wśród ciekawych okoliczności.

Pełnomocnik Markowiec p. Sawilski obserwował nad ogrodem ciekawą walkę gołębiarza z grzywaczem, a raczej polowanie tego pierwszego. Gołąb bronił się niesłychanemi ewolucjami lotniczemi, które p. S., sam lotnik-akrobata z zainteresowaniem śledził. Nagle po zgrabnem wywinięciu się gołębia od śmiertelnego uderzenia z boku, spadł na gołębiarza orzeł i obaj w jednej chwili znaleźli się na ziemi nie daleko od p. S., który dobiegłszy ogłuszył orła uderzeniem kija i pojmał. Gołębiarz już nie żył z rozbitą czaszką i wydartemi plecami.

Orzeł chował się u nas na Woli przez jakie dziesięć dni — był silnie osłabiony, latał tylko po ziemi na krótką metę i zaraz zapadał. Memu synowi dawał się spokojnie brać na ręce, głaskać etc. Apetyt miał dobry, 2—3 gołębi zjadał dziennie. Wkońcu wzmocnił się na tyle, że przy ponownej próbie lotu wyleciał na drzewo i potem już ruszył w świat. Przez dłuższy czas odwiedzał jeszcze Wolę codziennie, a nawet zapadał w ogrodzie jarzynowym na ziemi lub na drzewach parku. Bardzo żałuję, że nie mogłem go obrączkować, ale w Sanoku nie można było potrzebnych akcesorjów wydostać.

Władysław Tyszkiewicz

Sprawozdanie ze stanu zwierzyny łownej w powiecie Nisko.

Sprawozdanie to będzie z konieczności ogólnikowe, gdyż myśliwi nie lubią pisać i nie zawiadamiają delegatów o wynikach polowań. Nie będę mógł zatem podać ilości zwierzyny upolowanej i szkodników zabitych w tutejszym powiecie.

Stan jeleni rozmnaża się bardzo silnie, a raczej nadmiernie. Powodem tego nadmiernego rozmnożenia się, stanowiącego dziś już bardzo poważne niebezpieczeństwo dla odmłodzenia lasów, jest o wiele zawielka ilość łań. Przeszłej jesieni w okresie rykowiska, które jednak właściwie na miano rykowiska nie zasługiwało, widziałem sam w lesie rudnickim młodziutkie szóstaczki i ósmaczki, mające koło siebie po cztery i pięć łań. Nie trzeba długo tłumaczyć, że taki stan rzeczy, kiedy jelonek, który powinien być bocznikiem, albo przeciwnie, stary cofaniec jest jeleniem stadnym, musi odbić się fatalnie na jakości zwierzostanu. To też od dłuższego czasu obserwować można stanowczy upadek jakości wieńców, które dawniej w byłej Sandomierskiej puszczy mogły śmiało konkurować z wieńcami karpackiemi, jak tego dowiodła pierwsza Wystawa Łowiecka we Lwowie. Jestem zdania, że dla ratowania zwierzostanu jeleniego przed degeneracją konieczny jest bardzo silny odstrzał łań.

Drugim powodem degeneracji, to krzyżówka z jeleniami czeskimi, sprowadzonemi przed wojną do jednego z majątków w graniczącym powiecie Tarnobrzeskim. Typ ten, rozszerzył się bardzo w tutejszej okolicy. Polując przez dwa poprzednie lata na rykowisku w Baranowie, miałem sposobność stwierdzić fatalny skutek tej krzyżówki — **twierdzę stanowczo, że należy wprost wytępić tak jelenie, jak łanie, mające typ jelenia czeskiego. Jelenie te poznać łatwo: są dużo mniejsze od naszych, sierść mają jaśniejszą, rogi żółtawe, krótkie i cienkie.**

Stan dzików zmniejszył się bardzo znacznie. Powodem tego są niektóre spółki łowieckie gminne, których członkowie, wbrew ustawie, zakazującej polowań po zachodzie i przed wschodem słońca, urządzają zasiadki na polach swoich okręgów w pobliżu lasów, stanowiących inne okręgi. Policja Państwowa wobec zmniejszenia liczby posterunków i przeciążenia personelu istniejącego, nie jest w stanie temu przeciwdziałać (nietylko tym występkom niestety!) —a straż leśna nie ma prawa przejść na cudzy teren. Rozpoznać zaś w nocy, kto strzelił, jest na dalszy dystans niemożliwem, niemożliwem jest zatem i pociągnięcie go do odpowiedzialności. Lecz nie tylko gminne spółki łowieckie są powodem zmniejszenia się ilości dzików. Jest w naszym powiecie właściciel okręgu łowieckiego, obejmującego około 12.000 ha lasu, który nakazał swojej straży leśnej strzelać do każdego spotkanego dzika i za tak ubite dziki płaci straży leśnej strzałowe. Nie wiem, czy to prawda, ale opowiadają, że w ten sposób zginęło na przestrzeni tego okręgu łowieckiego w roku zeszłym około 60 dzików.

Stan sarn jak zawsze bardzo dobry, przezimowały doskonale i rogi w roku bieżącym są o wiele lepsze niż w roku poprzednim. I tu jednak jest stanowczo o wiele za wiele płci żeńskiej w stosunku do męskiej. A prócz tego prawie nikt nie uprawia (trudnego bardzo i wymagającego dużo czasu, którego przy dzisiejszych kłopotach każdy ma za mało) odstrzału hodowlanego, który koniecznie powinien być przeprowadzony przed rują, by sztuki nie nadające się do hodowli, odstrzelić. Więc i w zwierzostanie sarnim musi dojść do degeneracji, o ile stan kóz nie będzie utrzymany na takim poziomie ilościowym, by tylko istotnie najsilniejsze osobniki płci męskiej były reproduktorami (według Brehmsa, jeżeli dobrze pamiętam maksymalnie trzy kozy na szóstaka, wobec zaś faktu, że bardzo wiele rogaczy przeskakuje wprost ze śpiczaka na słabego szóstaka, należałoby przyjąć dwie kozy na szóstaka).

Jestem zdania, że Ustawa Łowiecka powinna celem utrzymania prawidłowego stosunku ilościowego między płcią męską a żeńską u jeleni i sarn, a przez to zapobieżenia degeneracji wskutek dochodzenia do rozpłodu osobników nieodpowiednich, co musi mieć miejsce przy zbyt wielkiej ilości płci męskiej — nakazać każdemu właścicielowi względnie dzierżawcy okręgu łowieckiego, by co roku odstrzelił tylokrotną ilość kóz względnie łań, w stosunku do odstrzelonych rogaczy względnie jeleni, ilokrotnie wypadać powinno normalnie więcej osobników płci żeńskiej od osobników płci męskiej. A więc: jeżeli ktoś odstrzelił w danym roku 10 rogaczy, to byłby obowiązany odstrzelić 20 kóz.

Oczywiście mogłoby to prowadzić do bardzo poważnych nadużyć ze strony tych dzierżawców okręgów łowieckich, którzy nie są myśliwymi, tylko strzelaczami, podszytymi (jeżeli nie w praktyce, to przynajmniej w zasadzie) kłusownikiem. To też Urzędy Starościńskie powinny być obowiązane, nie wydawać kart łowieckich i nie zatwierdzały dzierżaw polowań gminnych bez porozumienia się z Delegatem M. T. Ł. względnie P. Z. S. Ł.

Nie tylko jest to koniecznem także ze względu na drobną zwierzynę. W naszej okolicy drobnej zwierzyny jest bardzo niewiele, polowanie, na którem padnie 60 zajęcy, uchodzi za królewskie łowy. A jednak warunki dojścia do lepszego stanu tak kuropatw, jak zajęcy istnieją, szczególniej w okręgach łowieckich, położonych bliżej Sanu, na urodzajnych gruntach. Ale gdy okręg łowiecki gminny znajduje się w nieodpowiednich rękach, to przez cały czas, przez który wolno polować, codziennie niemal odbywa się strzelanie „na deptanego" do zajęcy, które jak wiadomo niszczy zwierzynę bardzo silnie, a w równie znacznym stopniu wypłasza ją, gdyż zwierz nie znosi ciągłego niepokojenia. To też P. Z. S. Ł. powinien usilnie dążyć do tego, by Urzędy Starościńskie były obowiązane postępować w ścisłem porozumieniu z Delegatami w sprawie kart łowieckich i dzierżaw okręgów gminnych. I tylko w takim razie Delegaci mogliby faktycznie odpowiedzieć swemu zadaniu — dziś żadnego oficjalnego wpływu nie mają.

Stan lisów zupełnie ładny, niestety zdarzają się znowu parszywe.
Ciągi słonek dosyć dobre, w tym roku były bardzo nieregularne. Ciekawem jest, że wracając w pierwszych dniach maja z objazdu lasu, usłyszałem chrapiącą słonkę.

Cietrzewi jest dosyć dużo, lecz wskutek ogromnych obszarów wypalenisk i wyrębów, dokonanych przez wojska walczące w 1914 i 1915 r., pokrytych dziś samosiewami brzozy, tokowiska rozbite są na bardzo wielkich przestrzeniach. W tej też okolicy są jedyne już na niżu Małopolskim tokowiska głuszców, mianowicie w okręgu łowieckim Studzieniec.

Powracam jeszcze do dzików. Ochrona macior prośnych ujęta tak jak obecnie, nie może wydać należytych rezultatów. Powinna ona już zaistnieć w okresie polowań na białej stopie. Polowanie na dziki powinno kończyć się 1 lutego, gdyż właśnie podczas zimowych polowań pada najwięcej loch, których odróżnienie nieraz bywa niemożliwe, zwłaszcza przy strzale z gąszczu do gąszczu na linii. Natomiast możnaby pozwolić polować na wiosnę na wycinki i odyńce, ciągle pod warunkiem, że wydawanie kart łowieckich będzie dokonywane w porozumieniu z Delegatami.

Szkodników, tak psów i kotów, jak jastrzębi i krukowanych dużo, gdyż dzierżawcy gminnych okręgów łowieckich w rzadkich tylko wypadkach tępią szkodniki.

H. Tarnowski, delegat.



ŁOWIEC POLSKI

Wyniki z Narodowych Zawodów Strzeleckich

(Dokończenie).

Mistrzostwo Warszawy, Mazowsza i Polski w 1935 roku zostało zdobyte przez p. J ó z e f a K i s z k u r n o.

W trzecim dniu oficjalnych Zawodów Narodowych o Mistrzostwo Polski na rok bieżący w strzelaniu do rzutków wielokrotny mistrz Polski i mistrz świata 1931 roku, Józef Kiszkurno, wypełnił nadzwyczaj trudne i wymagające wielkiego opanowania nerwowego oraz wysokiej klasy technicznej, warunki nagrody im. ofiarodawcy, Prezesa Henryka Messinga, pod nazwą „Złoty Głuszec" polegające na trafieniu 50-rzędowych talerzyków.

W dniu tym Józef Kiszkurno, po odstrzelaniu pierwszej programowej serji 10 talerzyków, które wszystkie zamieniały się w małe obłoczki pyłu, będąc w doskonałej formie, zadeklarował, że od następnej serji zaczyna strzelanie o „Złotego Głuszcza".

Serca życzliwe śledziły z ogromnem zainteresowaniem każdy nieomal ruch Mistrza, pamiętając o tem, że w roku 1930, podczas strzelania o tę samą nagrodę, Józef Kiszkurno spudłował, mówiąc trywialnie, 48-my talerzyk, baron Rosenwerth Stanisław — 49-ty talerzyk, a w roku 1931, doskonały strzelec, posiadający znakomitą formę i ogromne wyrobienie standowe, Detlef von Hennig — 50-ty talerzyk; toteż za każdym z kilku końcowych talerzyków, rozbitym w puch, wyrywało się nieomal dosłyszalne westchnienie ulgi, aby za małą chwilę przeżyć jeszcze większą emocję oczekiwania.

Ludziska, a było takich niewielu, czy to zawistni, czy też niemający serca do naszego Mistrza, dogadywali półgłosem, stawiając jak najczarniejsze horoskopy przed każdem wypuszczeniem talerzyka z maszyny. Po trafieniu jak najczystszem 50-go talerzyka, Józef Kiszkurno z właściwym sobie spokojem i wielką prostotą zwrócił się w przestrzeń z następującemi słowami: „Dziękuję wszystkim, którzy mi dogadywali, bom tylko łapska mocniej zacisnął i byłem pewny, że tym razem „Głuszec" mi nie ujdzie".

Należy nadmienić, że w tym dniu Kiszkurno rozbił 99 talerzyków na 100, przechodząc przeszło 90 talerzyków bez pudła, przyczem pierwszy raz zdublował dopiero 57-my talerzyk.

Wręczenie nagrody wraz z dodatkową nagrodą pieniężną, powstałą z 50% wpisowego, zostanie zorganizowane przez opiekunów nagrody, pp. Czerskiego i Lisowskiego. Drugie 50% wpisowego, zgodnie ze statutem, ma być użyte na wykonanie artystycznego dyplomu i ufundowanie podobnej nagrody następnej.

Nagroda „Złoty Głuszec" została ofiarowana dnia 24 maja 1929 r., zdobyta 24 lipca 1935 r. Ubiegało się o powyższą nagrodę 16 osób, deklarując łącznie 45 zgłoszeń do tej nagrody. Wpisowe wynosiło zł. 10 na rzecz funduszu nagrody.

W dalszym ciągu, w dniu 25 lipca r. b. Zakłady Amunicyjne „Pocisk" Sp. Akc. zorganizowały dalsze zawody w ramach organizacyjnych Zawodów Narodowych, na których rozegrano następujące konkurencje, których wyniki jednocześnie przytaczamy:

I. Nagroda Wędrowna Im. Król. Stoł. M. Lwowa.

Srebrny Puhar Przech. i Plak. Pamiątkowa — p. Kiszkurno 25/25
2 nagr. Złoty Medal i 200 nab. „Gryf" — p. Łyskowski 24/25
3 nagr. Złoty Medal i 200 nab „Gryf" — p. Sztukowski 23/25
4 nagr. Srebrny Medal i 150 nab. „Gryf" — p. Baranowski 23/25
5 nagr. Srebrny Medal i 150 nab. „Gryf" — p. Tobola 22/25
6 nagr. Srebrny Medal i 150 nab. „Gryf" — p. Jeziorkowski 21/25
7 nagr. Bronzowy Medal i 150 nab. „Gryf" — p. Czerski 21/25
8 nagr. Bronzowy Medal i 100 nab. „Gryf" — p. Kitzman 20/25
9 nagr. Bronz. Medal i 100 nb. „Gryf" — p. Rosenwerth Stan. 19/25
10 nagr. Bronzowy Medal i 10 0nb. „Gryf" — p. Ciążyński 19/25

II. Nagroda Wędrowna Im. Targów Wschodnich.

Srebrny Puhar Przech. i Plak. Pamiątkowa — p. Kiszkurno 35/35
2 nagr. Złoty Med. i 200 nab. „Gryf" — p. Rosenwirth Stan. 31/35
3 nagr. Złoty Medal i 200 nab. „Gryf" — p. Czerski 30/35
4 nagr. Srebrny Medal i 150 nab. „Gryf" — p. Jeziorowski 30/35
5 nagr. Srebrny Medal i 150 nab. „Gryf" — p. Kitzman 30/35
6 nagr. Srebrny Medal i 150 nab. „Gryf" — p. Łyskowski 30/35
7 nagr. Bronzowy Medal i 100 nab, „Gryf" — p. Tobola 28/35
8 nagr. Bronz. Medal i 100 nab. „Gryf" — p. Zieleniewski 28/35
9 nagr. Bronz. Medal i 100 nb. „Gryf" — p. Rozenwerth Wł. 28/35
10 nagr. Bronz. Medal i 100 nab. „Gryf" — p. Baranowski 28/35

III. Nagroda Im. Zakładów Amunicyjnych „Pocisk" S. A.

Plakieta Pamiątk. i 300 nab. „Darzbór" — p. Rozenwerth Stan. 39/40
2 nagr. Złoty Medal i 200 nab. „Darzbór" — p. Kiszkurno 38/40
3 nagr. Złoty Medal i 200 nab. „Darzbór" — p. Łyskowski 28/40
4 nagr. Srebr. Medal i 150 nab. „Darzbór" — p. Jeziorowski 36/40
5 nagr. Srebrny Medal i 150 nab. „Darzbór" — p. Czerski 35/40
6 nagr. Srebr. Medal i 150 nab. „Darzbór" — p. Ciążyński 35/40
7 nagr. Bronzowy Medal i 100 nab. „Darzbór" — p. Tobola 35/40
8 nagr. Bronz. Medal i 100 nab. „Darzbór" — p. Kitzman 35/40
9 nagr. Bronz. Med. i 100 nab. „Darzbór" p. Baranowski 34/40
10 nagr. Bronz. Med. i 100 nab. „Darzbór" — p. Rozenwerth W. 33/40

Nagroda Wędrowna Im. Stan. Barona de Rozenwerth'a.

Srebrny puhar Przechodni za najlepszy wynik ze stu rzutków zdobył p. Kiszkurno — 98/100. Wobec zdobycia Puharu po raz drugi — nagroda przechodzi na własność zdobywcy.

IV. Nagroda im. Zakładów Przemysłowych „Boryszew" S. A.

Plakieta Pamiątkowa i 20 p. prochu „Łośś" — p. Czerski 24/25
2 nagr. Zł. Medal i 15 p. prochu „Łoś" — p. Rozenwerth W. 24/25
3 nagr. Złoty Medal i 15 p. prochu „Łoś" p. Kiszkurno 23/25
4 nagr. Srebr. Medal i 10 p. prochu „Łoś" — p. Łyskowski 23/25
5 nagr. Srebrny Medal i 10 p. prochu „Łoś" — p. Kitzman 23/25
6 nagr. Srebrny Medal i 10 p. prochu „Łoś" — p. Lisowski 22/25
7 nagr. Brz. Med. i 10 p. prochu „Szarak" — p. Jeziorowski 22/25
8 nagr. Br. Med. i 10 p. prochu „Szarak" — p. Rozenwerth H. 21/25
9 nagr. Br. Med. i 10 p. prochu „Szarak" — p. Ciążyński 20/25
10 nagr. Br. Med. i 10 p. prochu „Szarak" — p. Tobola 20/25

Przy jednakowych wynikach klasyfikacja została dokonana w drodze rozgrywek, stosownie do warunków Zawodów.

Wobec zrzeczenia się przez p. A. Baranowskiego, jako Vice-Dyrektora Z. A. „Pocisk”, nagród przedmiotowych na korzyść każdego następnego miejsca, dodatkowo otrzymali: w pierwszej konkurencji — 150 nab. „Gryf” p. Tobola i w trzeciej konkurencji — 100 nab. „Darzbór” p. Rozenwerth Włodzimierz oraz w drugiej konkurencji — 100 nab. „Gryf” p. Ziegenhirte.

Rozdanie Nagród X. Zawodów Narodowych odbyło się uroczyście w sali Rady Miejskiej w dniu 28 lipca r. b. o godzinie 13-tej. Po krótkiem przemówieniu przedstawiciela Związku Strzeleckiego jeden z oficerów Związku odczytał wyniki wszystkich nagrodzonych miejsc we wszelkich konkurencjach. Po odczytaniu wyników, na zaproszenie przedstawiciela Związku Strzeleckiego, wicewojewoda Jurgielewicz wręczał każdemu nagrodzonemu zawodnikowi bądź przedmiot z dyplomem, bądź też dyplom, względnie medale.

Po zakończeniu rozdawania oficjalnych nagród (w strzelaniu do rzutków nagrodzone zostały trzy pierwsze miejsca, a mianowicie: za pierwsze miejsce Nagroda Ministra Skarbu w postaci łosia z bronzu na onyksowej podstawie, dyplom i medal złoty, za drugie i trzecie miejsce dyplomy i medale srebrne i bronzowy) nastąpiło rozdanie nagród zdobytych podczas zawodów, urządzanych przez Zakłady Amunicyjne „Pocisk” S. A. w dniu 25 lipca r. b., w postaci trzech srebrnych „Pucharów Przechodnich”, czterech złotych plakiet pamiątkowych w ozdobnych skórzanych futerałach, trzydziestu sześciu medali złotych, srebrnych i bronzowych oraz trzydziestu ośmiu listów, upoważniających do odebrania dodatkowych nagrów w postaci śrutowych nabojó „Darzbór” i „Gryf”, lub też bezdymnych prochów myśliwskich „Łoś” i „Szarak”, stosownie do programu strzelania. Nagrody „Pocisku” były rozdawane również przez wicewojewodę Jurgielewicza.

Wkońcu należy podkreślić, że w organizacji X. Zawodów Narodowych żywy udział przyjmował Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, którego członek Zarządu, dyr. Bohdan Gędziorowski, działał, jakod zastępca Głównego Komisarza Zawodów oraz jako przewodniczący Komisji Dyscyplinarnej i Główny Komisarz Strzelnicy na Szczęśliwicach.

Wł. Z.



Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie

z posiedzenia Wydziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego w dniu 26 września 1935 r.

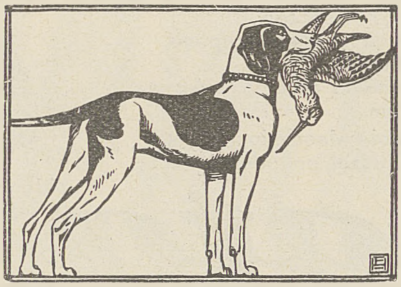
Przewodniczył Prezes Juljusz hr. Bielski. Obecni: Wiceprezes Albert Mniszek, Członek honorowy Dr. Alfred Sander; Członkowie: Zygmunt Gronziewicz, Dr. Franciszek Piechowski, Dr. Jerzy Rosienkiewicz, Dr. Edward Skowroński, inż. Tadeusz Sroczyński, Dr. Witołd Ziembicki. Zastępcy Członków: Stanisław Jaśkiewicz, Stanisław Logchamps i Dr. Ksawery Obmiński.

Nieobecność usprawiedliwili: Wojciech hr. Gołuchowski, Dr. Stefan Gajewski, Andrzej Ks. Lubomirski, inż. Bronisław Welczer, inż. Zbigniew Sander i Aleksander Ulm.

Po otwarciu posiedzenia przez Prezesa J. hr. Bielskiego, odczytany został protokół z ostatniego posiedzenia z dnia 13 września, a zast. czł. Wydziału Stanisław Longchamps, usprawiedliwił swą nieobecność na posiedzeniu w dniu 13 września b. r.

Następnie przystąpiono do odczytania uwag do projektu statutu Pol. Zw. St. Łow. opracowanych przez wyznaczoną Komisję w osobach pp. Piechowskiego, Rosienkiewicza, Skowrońskiego i Ulma. Wywiązała się ożywiona dyskusja, której rezultatem była uchwała Wydziału, że M. T. Ł. nie może wdawać się w szczegóły projektu statutu, skoro już przy § 1-szym zajęło zupełnie odmienne stanowisko organizacyjne, żądając, by Związek był nadal Związkiem stowarzyszeń ideowych, podczas gdy projekt chciałby skupiać w nim bezpośrednio osoby fizyczne, a stawia natomiast towarzystwa regjonalne właściwie poza nawiasem organizacji. Uchwalono w tym duchu przesłać odpowiedź do Związku, której zredagowanie powierzono wybranej Komisji.

Przy punkcie trzecim obrad Wydziału postanowiono na Walnem zgromadzeniu Związku poprzeć do Zarządu Głównego kandydaturę Dr. Edwarda Skowrońskiego w miejsce M. Chrzanowskiego, który ustąpił.



Kącik kynologiczny

Lwowski Oddział Polskiego Związku Hodowców Psów Rasowych, obejmujący swą działalnością województwa: lwowskie, stanisławowskie i tarnopolskie, rozpoczął swą działalność i przyjmuje zgłoszenia członków w lokalu Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, Lwów, ul. Ossolińskich 11. Wkładka roczna wynosi 10 zł., wpisowego niema.

W czerwcu 1936 r. zamierza urządzić „Dzień psa”, połączony z pokazem i premjowaniem psów rasowych. Dla orjentacji przyjmuje nieobowiązujące zgłoszenia. — W jesieni roku przyszłego urządzone będą próby psów myśliwskich na terenie już wybranym w okolicy Lwowa.

Na sprzedaż zgłosili: p. Kuśmidrowiczowa, Lwów XIV, Krzywczyce wielkie 1 3, sądząc z fotografji, którą można w biurze oglądnąć, bardzo ładną sukę legawą rasy setter angielski (Laverac), a zarząd dóbr Romanówka, p. Borki Wielkie — foxteriery szorstkowłose.

W „Kurjerze Ilustrowanym” krakowskim ogłasza „znana hodowla” w Przecławiu jamniczki angielskie karzełki bardzo piękne i miłe, które możemy polecić jako pochodzące od piesków odznaczonych na wystawach lwowskich.

Posiadacz psa pointera wysoko rasowego ze wspaniałym rodowodem, poszukuje takiejże suczki, celem założenia na wspólny rachunek hodowli pointerów, coraz bardziej w naszych warunkach łowieckich poszukiwanych. Zgłoszenia przyjmuje się w biurze.

Czasopismo „Pies” zeszyt I wydane przez Polski Związek Hodowców Psów Rasowych w Warszawie, można nabyć w cenie 3 zł. lub oglądnąć w biurze M. T. Ł.

Zarząd Oddziału.

SPROSTOWANIA

W sprawozdaniu z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. z dnia 13 IX 1935 r., umieszczonem w Nrze 12/35 „Łowca”, wkradły się następujące pomyłki: w ustępie o przyjęciu nowych członków opuszczono nazwisko inż. Witołda Bobrowskiego i Maksymiljana d'Eberhardta, zaś nazwisko p. Marjana Krzysztofowicza, omyłkowo wydrukowano „Krzyształowicza”. — W ustępie o zamianowaniu delegatów ma być, że: Dra Tytusa Kawalca zamianowano na pow. Śniatyn, a Aleksandra Romanowskiego i Witołda Żyborskiego na pow. Podhajce.

W „Łowcu” Nr. 11/35, w artykule „W obronie życia” na str. 129, szpalta 2-ga, w wierszu 15 z góry, zamiast „uczynki” ma być czynniki.



TREŚĆ NUMERU 13:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— zł.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. — Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., ½ str. 60 zł., ¼ str. 30 zł., ⅛ str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5, drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej. Redakcja nie zwraca rękopisów już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty. — Adres telegramów: „Łowiec“, Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 218-59. — Oddział w Krakowie, ul. Kremerowska 12, P. K. O. 405.265.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Tel. Nr. 204-32.